Nr. 48. Kraków, dnia 27 listopada 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

„Miłość braterska.“

Cieszyn, w listopadzie.

Przy każdej sposobności Czesi zarzucają Polakom, że bardziej do Niemców ciągną niż do Czechów, a nie chcą przyznnać, że stan ten jest wynikiem ich własnej polityki. Braterstwo słowiańskie jest dla Czecha wtedy coś warte, jeśli z tego braterstwa korzyści *tylko Czech* mieć może; w przeciwnym razie „braterstwem“ bluzga się tylko w oczy „bratrum Polakum“ i budzi się wśród swoich tem większą zawiść do wszystkiego, co polskie. Być może że Czesi w Pradze myślą nieco inaczej, ale tu, gdzie Czech styka się z Polakiem, braterstwo czeskie dało i daje się Polakom tak we znaki, że ci chętniej wchodzą w bliższe stosunki z Niemcami, u których znajdują więcej niż u Czechów wyrozumienia dla swych potrzeb kulturalnych.

Faktem jest, że tam, gdzie gmina jest w rękach niemieckich, Polacy uzyskali bądź szkoły np. w Gruszowie, a od gwarectwa Witkowicach, bądź subwencye na szkoły, np. w Morawskiej Ostrawie i Przywozie; tam natomiast, gdzie gminą rządzą Czesi, tam Polacy dla swego szkolnictwa nic nie uzcskali i niczego nie dostaną, prócz wiecznych odwoływań się czeskich na klasyczny już Rychwałd.

Znaną jest czeska życzliwość dla szkoły Macierzy w Polskiej Ostrawie, teraz drugi przybywa kwiatek braterskiej życzliwości w Maryańskich Górach, gdzie utrzymuje szkołę Tow. Szkoły Ludowej.

Kiedy przed powstaniem tej szkoły Polacy domagali się od czeskiej gminy szkoły dla swych dzieci, odpowiedziano im, że polskiej szkoły nie potrzeba, ponieważ *tylko dwoje dzieci* zgłosiło się że chcą chodzić do szkoły polskiej.

Było to świadome kłamstwo braci Czechów, ponieważ w tym czasie mimo oddalenia chodziło już *przeszło dwadzieścia dzieci* z Maryańskich Gór do szkoły polskiej w Morawskiej Ostrawie.

Burmistrz wykręcał się dalej, że ustawy szkolne morawskie nie pozwalają na tworzenie szkół polskich, więc i Maryańskie Góry takiej szkoły dać Polakom nie mogą, gmina jednak nie odmówi swej pomocy, o ile powstanie prywatna szkoła polska.

I powstała taka szkoła dzięki Towarzystwu Szkoły Ludowej i liczy w dwóch klasach 140, a w ochronce 103 dzieci i to dzieci bezwarunkowo polskich.

Jakżeż teraz zachowują się „bracia“ Czesi w maryańsko-górskiej radzie miejskiej?

Najprzód starali się polską szkołę utrącić rozmaitymi trudnościami przy zezwoleniu na używanie budynku na cele szkolne, a kiedy się już pod tym względem nic więcej zrobić nie dało, rozwinęli zaciekłą akcyę, by dzieci polskie ze szkoły polskiej przywabić lub gwałtem zabrać do czeskiej. Przyszło do tego, że *burmistrz przysłał żandarmów do szkoły polskiej z żądaniem zwrotu świadectw tych dzieci polskich, które dawniej chodziły do szkoły czeskiej, a nie rozumiejąc tam nauki, zapisały się teraz do szkoły polskiej.*

Na jakiej podstawie żandarmi dali się skłonić do takiego nadużycia, to chyba wiadomo panu burmistrzowi Otipce, który tę wyprawę po świadectwa zarządził.

Kierownik szkoły polskiej nie uląkł się żandarmów i świadectw nie wydał i tak znowu jeden z „braterskich“ zapędów spełzł na niczem. Za taki brak miłości do Czechów należała się też słuszna kara „bratrum Polakum“, a sposobność nawinęła się rychło, bo Tow. Szkoły Ludowej wniosło do gminy podanie o subwencyę na szkołę polską, wychodząc z założenia, że Polacy płacą w gminie takie same, jak Czesi i Niemcy podatki, więc i prawa pewne mieć powinni.

Jednak czeska rada miejska w Maryańskich Górach podanie to odrzuciła, motywując odmowę

tem, że Polacy więcej do Niemców ciągną, niż do Czechów.

Arcywygodna metoda!

Szowinizm nie pozwala Czechowi na jakiekolwiek, choćby najsłuszniejsze ustępstwo na rzecz Polaków, a ponieważ za to Polacy nie chcą być Czechom bezwzględnie wdzięczni, więc na ustępstwa nie zasługują.

Na tem samem posiedzeniu rada miejska w Maryańskich Górach uchwaliła pism nieczeskich nie przyjmować.

X. Y. Z.

Nie udało się!...

„Ruska Września!“ — ozwał się syk gadzinowy hajdamaków ruskich w Galicyi. „Ruska Września!“ zawtórowało wycie radosne duchów bratnich z nad Newy. Podniósł się tumult, wrzask, pisk, krzyk. Zatętniły druty telegraficzne, zaskrzypiały pióra tych... „istinnych“ kruków, pragnących wykrakać nam „czarną godzinę“; tych, co to do 109 narodowości otwierają szeroko ramiona, nie dla pieszczoty oczywiście, lecz po to, aby zdusić w nich kołaczące się mimo wszystko życie.

Zaskrzypiały pióra, wylewające na papier gorycz... udaną, tkliwość ku „cierpiącym“... fałszywą, oburzenie przeciw „ciemiężącym“... szalbiercze. Zaskrzypiały pióra, zaskrzypiała sykiem wężowym wszystka złość i nienawiść, jaką ku nam czują „serdeczni“ nasi i nie zaskrzypiała tylko szubienica, na którejby z tak serdecznem zadowoleniem powieszono naszą godność narodową, nasz honor polityczny, naszą cześć. Nie zaskrzypiała, bo... zaskrzypieć nie mogła.

Ręce, które już splatały postronek, aby uścisnąć nim miłośnie szyję „brata-Słowianina“ — opadły, bo... opaść musiały. Bo wszystkie zarzuty, jakie pijana szałem nienawiści tłuszcza — obracała niby błoto w swych rękach, okazały się bardzo rychło, a z biegiem czasu coraz wyraźniej okazują się fałszem niecnym, intrygą. Błoto nie splamiło nas wcale, a zbrukało jedynie ręce, które nas niem ubabrać chciały, które pragnęły nam urządzić chrzest błotny.

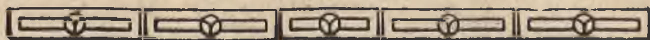
Każdy z czytelników rozumie niezawodnie, iż mówimy tu o „sprawie żulińskiej“, o wydętej nienawiści wrogów naszych bajce, jakoby nauczyciel polski podniósł rękę morderczą przeciw Rusinowi, przeciw dziecku, z tego rzekomo powodu, iż nie chciało ono modlić się w języku polskim...

Zaiste, wymysł, jakby w kuźni piekielnej ukuty przeciw narodowi, który walczy od szeregu lat na wszystkich współczesnych polach walki z nienawistnemi atakami i krzywdą.

Dla narodu, będącego w takiem jak nasze — położeniu; dla narodu, kołaczącego o sprawiedliwość i walczącego przeciw krzywdzie; posiadanie jasnego czoła, czystego nieskalanego sumienia stanowi niekiedy o jego zwycięstwie, wprawdzie zwycięstwie tylko moralnem, będącem niejako koroną cierniową, lecz koroną taką, z której biją promienne błyski, a będące zawsze podnietą dla tych, których „zwyciężonymi“ nazwano, ale którzy sami za zwyciężonych nie uznają się.

To właśnie reakcyjne pisma rosyjskie zapragnęły nam odebrać, przypuszczając do nas jeden z najbardziej bezwzględnych, z najwięcej cynicznych ataków. Nie powiodło się! — możemy dziś westchnąć sobie z uczuciem ulgi prawdziwej, tembardziej, że wiemy, iż „serdecznym“ naszym nie chodziło wcale o „zamordowanego“ rzekomo Kochańczyka. Przeciwnie, pragnęliby oni, aby morderstwo owo było faktem, z któregoby doskonały można było ukuć oręż przeciw nam — Polakom. Cóż dla nich znaczyłaby śmierć takiego jednego Kochańczyka, a nawet dziesięciu i stu jemu podobnych, skoro byłaby ona wygodną trybuną dla tych, którzy w otchłani śmiertelnej pogrążyćby chcieli cały, znienawidzony naród?

Nie udało się!... Lecz choć się nie udało, społeczeństwo nasze w całej zbiorowości swej, bez względu na kordony, wysnuć powinno z faktu owego odpowiednią naukę. Jaką? Oczywiście nie taką, aby „dla miłej zgody“ pozbawiać się bezprawnie tego, co posiadamy. Zgoda — istotnie rzecz miła, ale na zgodę, zasadzającą się tylko na ustępstwach, pozwolić sobie nie możemy. My wbrew woli wtrąceni jesteśmy w wir walki i to nietylko politycznej; mamy wiele do zdobycia, a nic, zupełnie nic do stracenia. O cóż zatym nam iść może? O to mianowicie, aby walka nasza prowadzona była zawsze w imię sprawiedliwych naszych potrzeb, aby była prowadzona w sposób kulturalny, ażeby tym warunkom odpowiadała akcya nie tylko zbiorowa, ale nawet czyny pojedyńczych jednostek. To jest naszym obowiązkiem narodowym, od którego nie wolno wyłamywać się nikomu, to nasze zarazem prawo. Jeśli w ten sposób pojmie swoje zadanie każdy kraju obywatel, wówczas wybiegi „żulińskie“ nie będą uwieńczone pożądanym dla ich celów skutkiem.



JAN ŚNIADECKI.

Dnia 21 listopada 1830 r. przypadała rocznica śmierci Jana Śniadeckiego, stąd nie od rzeczy będzie pomówić o nim i zastanowić się, czem był dla Polski. Uczcijmy jego pamięć wspomnieniem rzewnem, śląc mu po za światy wyrazy podzięki i wdzięczności.

Jan Śniadecki był z urodzenia Wielkopolaninem, przyszedł na świat w dniu 29 sierpnia 1756 roku w Żninie, w kolebce ojczyzny naszej.

Przyszedł za panowania drugiego Sasa (Augusta III-go) kiedy Polska by się podźwignąć, potrzebowała jak najwięcej światła.

Przyszedł i przyniósł jej z sobą to światło.

Bo miał umysł otwarty i bystry, wielkie zdolności i wielką pracowitość.

Kształcił się początkowo w Poznaniu, potem na uniwersytecie w Krakowie, i musiał zabłysnąć wśród swego otoczenia czemś nadzwyczajnem, gdyż mając lat 19 życia, został mianowany doktorem, a wkrótce potem stanął na katedrze.

Jako profesor matematyki.

Ale powodzenie nie zawróciło mu w głowie.

Dążył coraz wyżej.

Więc jako dwudziestodwuletni młodzieniec, rzuca uniwersytet i idzie za granicę by się dalej kształcić.

I kształci się (choć sam już kształcił innych) w Getyndze, Lejdzie i w Paryżu, — słucha na tych wszechnicach najznakomitszych profesorów, gdy więc wezwany przez Komisyę Edukacyjną w roku 1781 powraca do Krakowa, w rzędzie profesorów tego miasta, zajmuje jedno z najwyższych stanowisk.

Po wielkiej katastrofie politycznej, która Polskę wymazała z karty Europy, Śniadecki opuścił kraj. Pojechał do Francyi i Włoch, by studyować tam astronomię, i tak się w tej umiejętności wykształcił, że kiedy w Wilnie, po Poczobucie zawakowało stanowisko kierownika obserwatoryum, nie można było znaleźć nikogo godniejszego do zajęcia tego urzędu.

Przybywa więc do stolicy Litwy — i objąwszy takowy, jednocześnie powołany zostaje na rektora uniwersytetu, rozwijającego się tam wtedy tak świetnie, pod kuratorstwem księcia Adama Czartoryskiego.

I na tej wysokiej placówce, wśród niezmiernie trudnych okoliczności, stoi przez lat ośm. W roku 1815, składa przecież godność rektorską, ale do roku 1824, kieruje astronomicznem obserwatoryum, i dopiero wiek spóźniony, podsuwa mu myśl wytchnienia.

Niedługiego — bo w sześć lat potem rwie się zasłużonego jego życia, nić.

W dniu 21 listopada 1830 roku, na kilka zaledwie dni przed wybuchem rewolucyi w Warszawie, która tak krwawem echem odezwała się na Litwie.

. . . .

Tyle z życia Śniadeckiego.

A teraz zasługi jego naukowe jako pisarza.

Te są wielkie.

W matematyce i astronomii przedewszystkiem, ale i w filozofii.

Jako matematyk wydał w roku 1783 „Rachunek algebraiczny“, — dzieło dwutomowe wysokiej naukowej wartości, „Opisanie matematyczne i fizyczne ziemi“ i „Trygonometryę kulistą“, — jako astronom, w cieszącej się wielką sławą i przełożonej później na wiele języków, rozprawie o Koperniku, pierwszy w Polsce naukowo rozpatrzył i ocenił system obrotu ciał niebieskich wielkiego naszego rodaka.

Literaturę naszą filozoficzną wzbogacił on również wartościowem dziełem.

Zatytułowanem: Filozofia umysłu ludzkiego.

A jeżeli do tego dodamy: Żywoty uczonych Polaków, Zagajenia i rozprawy w naukach, oraz Listy i rozprawy w naukach, — wszystko prace wymagające poważnych studyów i głębokich rozmyślań, będziemy mieli owoc uczonej działalności człowieka, który blaskiem swojej wiedzy opromieniał dwa stulecia: schyłek ośmnastego i dziewiętnastego początek.

Śniadecki był mężem nauki wielkiej.

Ale zarazem patryotą wielkim i obywatelem.

Kochał swój kraj i służył mu wiernie.

Służył wszędzie gdzie tylko mógł.

I wszystkiem czem mógł.

Zajmowało go też wszystko, co z krajem miało związki, i gdy katastrofa polityczna położyła koniec samodzielnemu państwu polskiemu, świadomy tego, że narody przeżywają państwa i nie giną, pracował dla narodu.

I zasłużył się narodowi, jako mało kto w porozbiorowych naszych czasach i w dziejach odrodzenia Litwy, ma jedną z najwybitniejszych kart.

Myśląc ciągle o przyszłości swojego narodu, troskliwą jako rektor uniwersytetu polskiego w Wilnie otaczał on opieką to, co narodu tego jest i po wszystkie czasy będzie najsilniejszą spójnią.

Jego język.

Ten język, tak bogaty w dźwięki jak żaden język na świecie, ten język, który wkrótce po odejściu jego do świata duchów, miał zabłysnąć światu, w poezyach Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, wydać literaturę, jedną ze wspanialszych jaką zna świat.

Pisze więc rozprawę o naszej mowie, nawołuje do chronienia jej od skazy.

„Że nasz język (oto jego słowa) jest pierwiastkowy, że w swoim rodzie, składzie i fizyonomii, nosi zasady doskonałości, i piętna trwałej zrozumiałości, kilkunastoletnia praca usilności i talentu ledwo nie więcej w nim dokazała, jak praca wieków, w innych europejskich językach. Pójdzie on coraz dalej, jeżeli się starać będziemy, nie przewracać go i psuć, ale rozszerzać i doskonalić".

Nie przewracał go też on, nie psuł — wszystko bowiem co po nim pozostało, nosi znamię czystości i poszanowania tradycyi pisarzów Zygmuntowskich.

Ale mądry, trzeźwy, i zrównoważony umysłowo, jak rzadko kto, pełen głębokiej wiedzy, filozof w każdym niemal calu, Śniadecki nie rozumiał nowych kierunków literackich.

Zwłaszcza tych, które niosła z sobą światu romantyczna poezya.

Był to w gustach klasyk w całem znaczeniu tego słowa, kochał się w Rzymianach i starych Grekach.

Kiedy więc otoczyły go czary i gusła poezyi nowej, kiedy się zetknął z nieokiełznaną fantazyą poetyczną, urągającą zdrowemu jego rozsądkowi, nie mógł wytrzymać i acz nie zawodowy literat, wdał się w spór z literatami.

W rozprawie, wydrukowanej w „Dzienniku Wileńskim" w roku 1819: „o pismach klasycznych i romantycznych".

Otóż ta rozprawa znalazła ostry oddźwięk w „Romantyczności" — Mickiewicza.

Bo choć nie zaczepiała ona Mickiewicza, przecież zaczepiała kierunek literacki, któremu młody wieszcz hołdował i jako taka bezpośrednio godziła i w niego.

W rozprawie tej Śniadecki twierdzi, że „romantyczność lubi przypomnienia dawnych obyczajów i zdarzeń narodowych, tęskni do wieków przeszłych, kocha się w naturze prostej, dzikiej i nieokrzesanej. Czary, gusła i upiory nie są naturą, ale płodem spodlonego niewiadomością i zabobonem umysłu, są to głupstwa ledwo nie wszystkich ludów, pogrążonych w barbarzyństwie i nie objaśnionych czystą religią. Ich wspomnienie upokarza człowieka, ale w nim żalu nie wzbudza".

Otóż pisząc te słowa, Śniadecki przesadził. Nie dość przesadził, obraził przedstawicieli całej poezyi romantycznej w ogóle, a Mickiewicza w szczególności. Za: „spodlony nieświadomością i zabobonem umysł", za takie słowa jak: „głupstwa, pogrążonych w barbarzyństwie" doczekał się też tego, czego się doczekać od oburzonego i gorącego wieszcza musiał.

Wyrzutu, że zna on jedynie „martwe prawdy", że „świat widzi w proszku, i w jednej gwiazd iskierce", że „nie zna prawd żywych i nie obaczy cudu", — i że powinien „mieć serce i patrzeć w serce".

To była zemsta poety. Zemsta słuszna, bo można być zwolennikiem przeróżnych kierunków, nie można, krytykując kierunek sobie wrogi, przylepiać do jego zwolenników piętna poniżającego. W krytyce zachować nalczy miarę. A że Śniadecki jej nie zachował, przeto pod pióro poety wywołał ostre słowa, które bynajmniej nie ubliżając jego wielkiej naukowej sławie, w tym wypadku nie po jego stronie grupują nasze przekonania.

Zwłaszcza dziś.

Bo gdy się widzi do czego podąża dziś ten świat nasz trzeźwy i zimny, wierzący tylko w algebraiczną formułę i materyę, a poniewierający duchem zarozumiały swoją mądrością, a lekceważący wszystko co z sercem ma związek, kto wie, czy wbrew takiemu Śniadeckiemu, nie pretendując wcale do miana obskuranta lekceważącego ścisłą naukę, nie godzi się zawołać raczej za wielkim poetą, że:

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca, szkiełko i oko".

* * *

Słusznie chlubimy się Śniadeckim.

Janem i bratem jego Jędrzejem.

Chlubimy się, zarówno jak urodzonym w Wielkopolsce Staszicem.

Ale chlubi się nim i nimi trzema również cały nasz kraj.

I uważając ich wszystkich za wielkich swoich synów, stawia ich na świeczniku w świątyni swojej chwały.

Bo podobni im, są gwiazdami narodów.

Oświecają im drogi pochodu, rozpraszają chmury, gromadzące się nad nimi.





Artur Grottger.

JUZ TYLKO NĘDZA.

Nuć melodye piosnko-płaczko...

Nuć melodye piosnko-płaczko
Nieznane,
Czy powrócą dni me błogie
Świetlane,
O olbrzymach—snach młodości
Zarania,
O minionych nuć dniach mego
Kochania.
Powiernico, mego bólu
Opoko!
Spłyń w toń duszy upojeniem
Głęboko.
I niech ton twych tchnień czarowny,
Harfiany
Żal mój niesie w świat daleki,
Nieznany.
Nuć, gdzie szczęście, co przekwitło
Tak skrycie,
Jak wyrosły skromny kwiatek
W gór szczycie.
Niech mą rozpacz śpiew twój czuły
Rozwieje,
Niech mi wróci utraconą
Nadzieję!

Wł. Jezierski.

Bez pieniędzy.

Co to się ludzie namyślą, co to zabiegów czynią w celu zdobycia marnego kruszcu złotego. Nieraz całe życie poświęcają, ażeby, jeśli już nie oni, to przynajmniej ich dzieci zbogaciły się.

— Ucz się, mój synku — mówi ojciec — zostaniesz księdzem, albo jakim urzędnikiem i będzie ci dobrze, bo będziesz brał dużo pieniędzy.

Każdy uboższy twierdzi niezbicie, że bogaty jest szczęśliwym człowiekiem.

Jest to zupełnie niesłuszne twierdzenie.

Teraz daleko szczęśliwszym jest ten, kto nie ma pieniędzy.

Dlaczego? — zapytacie zdziwieni.

Dlatego, że nie potrzebuje się bać złodzieja lub bandyty, a kładąc się spać jest pewny, że obudzi się bez ołowiu w głowie.

Bez pieniędzy człowiek nie zostanie rozpustnikiem, nie będzie kupował drogich mebli i strojów dla swych kochanek, jak Macoch, i nie nanarazi się na takie, jak on, nieprzyjemności.

Bo gdyby Macoch nie dobierał się do pieniędzy i nie miał ich tak dużo, byłaby się zapewne Krzyżanowska tak blisko z nim nie znała i byłby się nie dostał do więzienia. Pieniądze go zgubiły.

Nie mając pieniędzy, bojkotowalibyśmy towar niemiecki i nie kupowali ani u niemców, ani u żydów, co się u nas niestety tak często dzieje.

Nie czytywalibyśmy też szkodliwych książek, bo nie mieli byśmy ich za co kupić, przez to nie podniecalibyśmy się, lecz żyli uczciwie, spokojnie i szczęśliwie.

A od ilu to zbrodni ustrzeglibyśmy się, nie mając pieniędzy, to trudno wyliczyć.

— Tak — powie niejeden z czytelników — ale, gdy nie mamy pieniędzy, nie możemy czynić innym dobrze. Nie możemy popierać sztuki i pracy społecznej, przemysłu krajowego i t. d.

To prawda! Lecz zastanówmy się, czy naprawdę popieramy swemi pieniędzmi sztukę polską? Przedstawienia teatralne, koncerty dają deficyty; zato tyngel tangle się zbogacają. Prawdziwi poeci przymierają z głodu, ale autorowie różnych świstków i broszur sensacyjnych dobrze się mają.

A czy na pracę społeczną dajemy swój grosz? Na to niech odpowiedzą puste kasy różnych pożytecznych instytucyi i stowarzyszeń. Ile to najpiękniejszych projektów nie wprowadzono w czyn dla braku poparcia pieniężnego. My nie umiemy pieniędzy na dobre rzeczy używać. Czasy Staszyców minęły.

Jeżeli więc na zło używamy pieniędzy, jeżeli posiadanie ich demoralizuje nas, to czyż nie szczęśliwsi bylibyśmy, gdybyśmy ich zupełnie nie mieli.

Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre... z równą twarzą powita.

Juliusz Słowacki.

* * *

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.



Polowanie z chartami.

Goniec.

(Z dawnych wspomnień).

Galopem pędził jeździec przez rynek Starego Miasta Warszawy, kierując się na plac Zamkowy. Koń błotem i pianą okryty, mundur ułana również zabłocony, na białych rabatach ślady krwi.

— Z drogi, z drogi! — woła do gapiących się ludzi. — Raport wiozę!

— Bodzie ostrogami konia, który już bokami robi i rzęży głucho. Biedny rumak ostatków sił dobywa i w kilku susach przesadza rynek.

Na rynku przed straganem pani Maciejowej skupiła się gromadka ciekawych. Wyszedł gruby pan Jacenty, majster szewski, wyszedł stróż Grzegorz, wybiegł Walek, terminator pana Jacentego. Wszyscy zastanawiali się nad przyczyną pośpiechu ułana.

— Musiało się coś stać ważnego, zakończył mowę swoją pan Jacenty, — ułan depeszę powiózł. Biegnijmy pod zamek tam się dowiemy.

— Biegnijmy — zawołał Walek, któremu ta propozycya bardzo do gustu przypadła.

— A ty tam poco urwisie — krzyknął pan Jacenty zwracając się do chłopca, — a do roboty, do warsztatu. To mówiąc podniósł swój kij w górę.

Lecz Walek zgrabnie odskoczył w bok, chroniąc się za stragan pani Maciejowej.

Pani Maciejowa zostawiła swój stragan na łasce Opatrzności i wszyscy ruszyli biegiem za

ułanem. Walek tymczasem chwycił ze straganu dwie bułki i pobiegł do domu, zajadając je po drodze.

Dojrzała go pani Maciejowa i rozpaczliwie chwyciła się za głowę.

— Skaranie Boskie! — krzyknęła, zatrzymując biegnącego kłusem pana Jacentego, — patrzcie, panie Jacenty, wasz hultaj znowu bułkę ukradł ze straganu. O, o, patrzcie, jak zajada.

— To pilnuj aspani swego straganu — ofuknął się gniewnie pan Jacenty, sapiąc ciężko.

Zirytowana baba przystanęła w biegu i ujęła się w boki.

— Ludzie, patrzajcie! Będzie mi tu od „aspani“ wymyślał! Wielki pan, a jeść nie daje chłopakom, z głodu kraść muszą!

Nie wiadomo, na czem by się skończyła kłótnia sąsiadów, gdyby nie ciągle zwiększający się tłum, który wkrótce ich rozdzielił.

Tymczasem ułan wpadł jak burza na plac przed Zamkiem i osadził spienionego konia. Lecz tu wyczerpały się siły człowieka i zwierzęcia — koń i jeździec runęli na ziemię.

Z ust ułana buchnęła struga krwi.

— Ratujcie — krzyknął — osłabionym głosem — wiozę ważne depesze.

Zemdlał.

Z zamku wybiegło kilku adjutantów, wybiegł sam dowódca, nadbiegło mnóstwo ludzi. Podniesiono ułana z ziemi i ocucono. Ujrzawszy jenerała, ostatnim wysiłkiem woli wyprostował się po wojskowemu, sięgnął w zanadrze i oddał mu papiery.

Dowódca chwycił papiery, rozerwał pieczęcie, czytał nerwowo, pośpiesznie, w miarę czytania rozjaśniała się twarz jego.

Oficerowie i lud z zapartym oddechem wpatrywali się w twarz jego.

— Zwycięstwo! — krzyknął jenerał z uniesieniem — wielkie zwycięstwo, — mówił gorączkowo. — Nieprzyjaciel na głowę pobity, nasi go ścigają, siedem sztandarów nieprzyjacielskich, 16 armat, sześć tysięcy trupa, trzy tysiące jeńców! Spisali się zuchy!

Bystrem okiem spojrzał na ułana, który skłaniał się z osłabienia, chwiał się na nogach, a z piersi mu się krew sączyła.

— Dlaczego ciebie przysłali? Jesteś ranny, jak widzę. Czyż nie było zdrowego człowieka w pułku?

Ułan spojrzał gasnącym wzrokiem na jenerała.

— To ja sam, panie jenerale — mówił urywanym głosem. — Nasz pułk się odznaczył, w nagrodę miałem zawieźć wiadomość do Warszawy... Koń czekał osiodłany, a nikt nie wiedział, że dostałem pchnięcie w bok lancą.

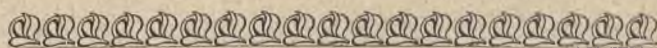
Mówił coraz wolniej, oddech miał krótki, w piersiach mu grało.

— Utaiłem ranę przed pułkownikiem... Ja z Warszawy rodem... chciałem pierwszy przywieść wiadomość pomyślną... wieść zwycięstwa... zbladł strasznie i padł na ręce otaczających.

— Doktora! — krzyknął jenerał donośnym głosem. Ożywiła się twarz konającego — machnął ręką i rzekł:

— Nie trzeba, jenerale.. jam już gotów... szelma... dogodził mi tą lancą... Niech żyje nasza!....

Oczy mgłą mu zaszły — skonał.



Jak na księżycu...

Od niepamiętnych czasów przyzwyczaił się człowiek uważać wodę za coś w najwyższym stopniu zwykłego, pospolitego, za coś co lekceważyć można bezkarnie.

Wszak woda „nic nie kosztuje“ — mawia się codziennie, nie zdając sobie sprawy z tego jak olbrzymią i doniosłą rolę odgrywa woda w przyrodzie.

I jak bezmyślnie twierdzi się zawsze, niszcząc najpiękniejsze lasy „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las„... — tak samo zdaje nam się, że i wody nigdy na świecie ubyć, ani zabraknąć nie może.

Co innego tymczasem mówi nauka.

Spostrzeżono i dowiedziono, że wody na ziemi ciągle ubywa. Rzeki wydające się nam dziś bardzo „wielkiemi“, są niemal miniaturami w porównaniu z olbrzymami, jakie płynęły przed wiekami.

I tak np. obliczono, że wysokość zwierciadła Renu w ciągu 100 lat obniżyła się pod Kolonią o 0.22 m., Elby pod Magdeburgiem o 0.45 m., Odry o 0.46 m. Rzecz naturalna, że to samo spostrzedz by się dało i na naszych rzekach.

Badania takie jednak muszą się odbywać nie w ciągu stu lat, gdyż okres to za krótki na tak wielkie zmiany w przyrodzie, ale co najmniej w ciągu kilku wieków.

W epoce lodowej środkowa Azya, północna Afryka i Australia posiadały wielkie morza śródziemne, z których dziś pozostały już tylko resztki w kształcie słonych bagien i małych jezior.



Śpiew miłosny.

Szczególnie zastraszający jest zanik wody w środkowej Afryce. Słynne jezioro Tsad, o którem przed kilkoma dziesiątkami lat pisali badacze, że posiada głębokie i szeroko rozlane wody, dziś jest w istocie niewielkiem, grząskiem, trzecią część dawnego jeziora zajmującem bagnem.

I Sahara dawniej nie była tak strasznie pustynną jak jest obecnie; w pewnej części nawet była zamieszkaną, gdyż dostateczna wilgoć ziemi i obfite opady atmosferyczne sprawiały, iż dzisiejsze piaski suche pokrywała dosyć bujna roślinność.

Ten groźny dla naszej ziemi objaw tłomaczą uczeni nieustannem grubieniem skorupy ziemskiej, która wskutek kurczenia się gorącego jądra, stale się oziębia i wchłania w szczeliny skał ogromne masy wody.

To co przeżywa obecnie powoli nasza ziemia, przeżył podobno już księżyc, spełniwszy tym samem przeznaczoną sobie rolę w wszechświecie.

Pełen tajemnego uroku, milczący „srebrny glob“ jest prawdopodobnie teraz jednem ogromnem cmentarzyskiem, na którem właśnie z powodu zupełnego zaniku wody wymarło wszelkie organiczne życie.

Świeży przedmiot obserwacyi i badań uczonych, Mars, zajmuje według ich mniemania miejsce pośrednie pomiędzy ziemią a księżycem.

Nie zamarło tam podobno jeszcze zupełnie życie organiczne, ale w każdym razie mieszkańcom jego zagraża, jak niegdyś żyjącym na srebrnym globie, pustynna susza; tylokrotnie zaś opisywane przez jednych, a wydrwiwane przez innych astronomów „kanały“ na Marsie mają być

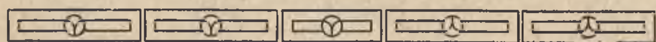
niczem innem, jak wielkiemi budowlami wzniesionemi przez genialnych inżynierów baśnianego świata dla zapobieżenia wyschnięcia lądu...

Czyżby więc i nam na ziemi miał grozić tak tragiczny zanik wody, jak na opiewanym przez powieściopisarzy fantastycznym „srebrnym globie?"...

Jedyną pociechą w tym smutnym obrazie przyszłości jest także stwierdzona przez uczonych, niezmienność wód w głębiach oceanów.

Te, również pełne tajemnic, światy olbrzymie pozostają niezmienne całe długie wieki, może nawet od owego „dnia trzeciego" stworzenia, kiedy to na wielkie słowo: „niech się stanie" oddzieliły się wody od ziemi i powstały lądy i morza.

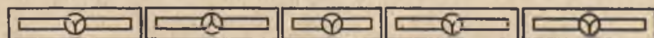
Elk.



Niezwykłe zjawisko.

Kollegium profesorów uniwersytetu w Tokio badało niedawno pewną 25-cio letnią damę japońską Chisu Mibune, wdowę po poruczniku, który zginął w wojnie rosyjsko-japońskiej. Młoda kobieta posiada dziwny dar. Skierowawszy myśl na jakiś przedmiot, może po pewnym czasie odgadnąć, co ten przedmiot zawiera. Np. ktoś włoży swoją kartę wizytową do garnuszka, w pokoju, w którym pani Mibune niema. Garnuszek przykrywa i zapieczętowywuje lakiem japońskim. Następnie chowa go do paczki drewnianej, zamyka ją, owija starannie i obwiązuje sznurkami, których końce znowu lakuje. Po tych przygotowaniach zanosi paczkę do drugiego pokoju i podaje ją pani Mibune, która według japońskiego zwyczaju siedzi w kuczki na macie, rozciągnionej na ziemi. Pani Mibune, patrzy na paczkę, przez jakich dziesięć minut nie odwracając od niej wzroku, i kierując na nią całą swą uwagą, poczem wymienia wydrukowane na bilecie nazwisko, odgaduje najrozmaitsze przedmioty, które podczas jej nieobecności schowano w skrzynce, wylicza oka na kostkach do gry. Widzi przedmioty podwójnym wzrokiem, ale przedmiot, który zobaczy, w tej chwili znika jej z oczu.

Pewien lekarz zaprowadził panią Mibune do jakiejś kobiety na krótki czas przed rozwiązaniem. Pani Mibune patrzyła na nią około dziesięciu minut, poczem powiedziała, że dziecko, które ma przyjść na świat, będzie rodzaju męskiego. I istotnie tak było. Umie ona również odkryć chore miejsca w ciele nieznanych sobie ludzi wyłącznie za pomocą patrzenia. Ten dziwny i szczególny dar odkryła pani Mibune przed kilku laty w pewnem miejscu kąpielowem. Kąpiąc się w morzu zgubiła pierścień. Zauważyła to jednak dopiero później, zapatrzyła się na morze i oznaczyła wreszcie pewne miejsce a, gdy tam zaczęto szukać, istotnie pierścień znaleziono. Pewien uczony tłomaczy to tem, że ludzie w dawniejszych czasach mieli więcej, niż pięć zmysłów i że skutkiem tego przez dziwny zbieg okoliczności od czasu do czasu zbudzi się w jakimś człowieku, któryś z dawno obumarłych zmysłów. Tłomaczenie to może być słusznem, niezawodnie jednak spotka się z inną uczoną teoryą wprost sobie przeciwną, bo choć uczeni wiele wiedzę, to jednak wciąż jeszcze pokazuje się, że między niebem a ziemią znacznie więcej rzeczy jest nie znanych, niż się o tem śniło największym filozofom. Rozumie się, że pani Chisu Mibune jest obecnie wyłącznym tematem rozmów w Tokio i wszystkie pisma pełne są jej nazwiska. Wprawdzie pani Mibune nie popisuje się swym darem publicznie, ale badania uczonych i zeznania dziwnej kobiety dostarczają obfitego tematu do uwag i dyskusyi.



Kobiety w Indyach.

Znany w Anglii publicysta hinduski p. Sarath Kumar Shosh, autor wielu dzieł o życiu i położeniu kobiet w Indyach, między innemi bardzo ciekawej pracy p. t. „Rzeczywiste położenie kobiet hinduskich", miał w Londynie bardzo interesujący odczyt o kobietach hinduskich.

Na wstępie autor podkreśla, że błędne pojęcia, jakie w Europie panują o położeniu kobiet na Wschodzie, powstają stąd, że się nie odróżnia ściśle Dalekiego Wschodu od Bliskiego — (chyba w polityce). Gdy w bliskiem sąsiedztwie cywilizowanej i kulturalnej Europy położenie kobiet jest bardzo nieszczęśliwe, na Dalekim Wschodzie, w Indyach, rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Tam stanowisko kobiet jest nie tylko lepsze, niż w jakimkolwiek innym kraju, lecz jest nawet lepsze od położenia mężczyzn hinduskich. To uprzywilejowane stanowisko, jakie kobieta hinduska zajmuje, zawdzięczać należy przekonaniom religijnym, panującym w Indyach.

Religia u Hindusów zajmuje pierwsze miejsce w ich życiu i umyśle — jest ona ich życiem a idea powtórnego wcielenia się ducha, jak wia-



Przygody cyklisty na wsi.

domo, główną podstawą religii Hindusów i oznaką tego powtórnego wcielenia się, w przekonaniu ludności, są urodziny dziecka. Skutkiem tego małżeństwo w życiu Hindusów nabiera niezmiernego znaczenia i uważane jest jako jeden z najważniejszych i najświętszych sakramentów. Jakkolwiek małżeństwa kojarzone są przez rodziców obojga stron, są one bardzo szczęśliwe, a rozwody zupełnie nieznane. Mężczyźnie nie wolno przystąpić do wykonania najważniejszych praktyk religijnych, odpowiadających pierwszej komunii u katolików i konfirmacyi u ewangelików, dopóki nie jest żonatym. Tutaj dopiero można mieć pojęcie o wpływie kobiet i ich uprzywilejowanym stanowisku, mąż bowiem nie może brać udziału w tych obrzędach bez aprobaty żony — więcej nawet — ta zgoda nie może być zwykłą formalnością, lecz musi wypłynąć z jej wewnętrznego i głębokiego zaufania do małżonka, gdyż inaczej jego praktyki religijne są bez znaczenia i rezultatu.

Ta religijna, że tak powiem, władza kobiet hinduskich istnieje nawet w życiu codziennem, gdyż mąż nie może odmówić swych codziennych modlitw, które po odbyciu kąpieli przed wschodem słońca wykonane być muszą — bez jej pozwolenia.

Żona więc posiada w swem ręku władzę nad jego duszą, a ponieważ jest to największa władza, jaką posiadać można, więc stanowisko kobiet hinduskich jest nieograniczone. Ona jest faktycznie głową rodziny, panią domu i wychowawczynią dzieci.

Władzy tej hinduski nie nadużywają, również z powodów religijnych, w obawie przed groźnym gniewem bóstwa, które mogłoby zesłać karę, w formie odmówienia potomstwa, co duszę jej naraziłoby w przyszłości na potępienie, t. j. błąkanie się po świecie przez tysiąc lat.

Panuje powszechna opinia, że narodziny córki są przyjmowane u Hindusów z niechęcią. Jest w tem tylko część prawdy. Niezadowolenie to istnieje tylko wtedy, gdy rodzą się same córki i ma powód czysto materyalny. Każda córka musi mieć posag, który podług praw zwyczajowych powstaje z usilnych oszczędności, robionych w ciągu lat pięciu na każdą córkę. Nic więc dziwnego, że np. czwarte dziecko płci żeńskiej jest zmartwieniem dla rodziców, bo oznacza to dla nich życie w znoju, biedzie i oszczędności przez lat dwadzieścia.

U Hindusów istnieje jednożeństwo. Wyjątkowo tylko może Hindus pojąć drugą małżonkę, jeśli pierwsza nie daje mu potomstwa i to nie mniej jak po dziesięciu latach wspólnego pożycia.

Jest godne uwagi jednak, że z prawa tego Hindusi nigdy nie korzystają. Jakkolwiek bezdzietność zawodzi ich religijne nadzieje, to miłość małżonka zwykle powstrzymuje go od korzystania z tego prawa, przez co stanowisko żony w domu nie upada.

Pojęcie o stanowisku kobiet hinduskich dają również podania ludowe, książki, zabawy itp., w których wszelkie cnoty, jak mądrość, dobroć, miłosierdzie, sprawiedliwość itd. są przypisywane jedynie kobietom.

Kwestya palenia wdów jest w Europie źle zrozumianą Nie ma tam pod tym względem przymusu. Jest to takie same dobrowolne poświęcenie się, jak przyjęcie ślubów zakonnych. W sferach fanatycznych jest to uważane jako najszybsza i najpewniejsza droga do świętości, zarówno dla niebożczyka, jak i pozostałej wdowy. Poświęcenie to odbywa się głównie za namową fanatycznej części duchowieństwa lub pod wpływem bigoteryi rodziny i zawsze spotyka się z silnem przeciwdziałaniem społeczeństwa.

W każdym razie kobiety nie są palone żywcem. Po odprawieniu pewnych przepisów religijnych, wypijają one t. z. czarę zapomnienia, tj. pewien środek senny, który wprowadza je w początku w stan letargu, a potem przyczynia śmierć; następnie ciało jest balsamowane sposobem znanym tylko hinduskim kapłanom i oddawane płomieniom.

* *

Szczególny wypadek.

— Byłem jeszcze młodym chłopcem — począł Pływalski — a za moich czasów łgarzewskie lasy słynęły na okolicę: sosny czterech chłopów nie objęło, a dęby były takiej wielkości, że w jednym z nich, do połowy tylko zmurszałym, pachciarz łgarzewski ze swą rodziną wygodną sobie kuczkę urządził. Otóż za owych to czasów wilki trapiły całą okolicę. Były ich niezliczone stada... nocami wycie było tak straszne, że szyby w oknach dzwoniły... a przejeżdżający z daleka sądzili nieraz, że do jakiegoś miasta się zbliżają, gdy tymczasem te tysiące światełek były poprostu ślepiami wilków żerujących. Wilki napadały po drogach, zjadały nieraz podróżnych, konie, pocztyliona,

konduktora... wpadały w biały dzień do chałup... porywały dzieci z kolebkami, kury z kurnikami.

— Wieprze z chlewami — wtrącił Feluś.

— Co?... a... przesadzasz, mój Felusiu — mruknął Pływalski. — Jednem słowem robiły tak straszne spustoszenia, że nikt z domu nie wyjeżdżał, a o wypuszczeniu gromady w pole i myśleć nie było można. Ojciec mój, któremu zarzucali, że jest temu poniekąd przyczyną, nie tępiąc wilków, zarządził ogromną obławę: sprosił całą okoliczną szlachtę ze służbą dworską... komendanta siły zbrojnej z okręgowego miasteczka z całą kompanią wojska... i zaczęło się polowanie. Ja, jako faworyt ojca, a przytem namiętny już wtedy myśliwy, porwałem z kołka Batorówkę i pobiegłem za strzelcami na stanowisko. Pamiętam, jak dziś: przez środek lasu rozciągnięta była sieć... z jednej strony szła obława, z drugiej myśmy stali.

Wtem patrzę... jedzie ogromne wilczysko na sztych... Ja za strzelbę... klap!... do dyabła!... przypominam sobie, że nie nabita. Nabijam więc ją czemprędzej... mierzę wilkowi w czoło... walę... bach! bach! dwa razy...

— Z jednej lufy? — zapytał Feluś.

— Co powiecie? — kończył, nie zważając na złośliwe zapytanie, rozpłomieniony łgarz — wilk spiął się na zadnie nogi, potrząsając łbem, nad którym wznosił się stempel nowej strzelby przez zapomnienie nie wyjęty. Zaczął łbem walić w drzewo na prawo i na lewo, chcąc się pozbyć niedogodnego przyboru; ale strzał był celny, a nabój wszedł do połowy, nie zrządziwszy jednak szkody zdrowiu, bo ani kropelka krwi z rany nie wyszła. Obława się tymczasem zbliżała. Wilczysko, spłoszone jej krzykiem i strzałami, które się tu i owdzie po lesie rozlegały, rzuca się całą siłą w sieć... stemplem, jakby rogiem, rozrywa takową i dalej w las!... Przeleciał koło mnie o parę kroków, ale ja strzału dać nie mogłem, bom stempla do przybicia naboju nie miał. Obława udała się jako tako... około mendla wilków zabito; ale dziesięć razy tyle zostało ich jeszcze w lesie. Postanowiono więc zjechać drugi raz po tygodniu, skoro się przepłoszone wilki uspakajać zaczną. Jakoż w tydzień zjeżdżają znów wszyscy... obława rusza... strzelcy na stanowiska... robimy zakład jeden... drugi... trzeci... ale wilka ani na lekarstwo nie widać... Co to jest? — pyta mój ojciec — czy się w ziemię wryły?... czy ich dżuma wytępiła?... A na to dopiero stary gajowy, który przez całą obławę stał niedaleko mnie, trzymając się za boki od śmiechu, objaśnił nas, że wilków już od tygodnia niema, bo widział na własne oczy, jak nocami całe ich stada, stuliwszy ogony, uciekały z naszych lasów, gonione przez jakiegoś potwora, napozór do wilka podobnego, ale odróżniającego się ogromnym na głowie rogiem... Był to mój wilk... mój strzał... mój stempel... dzięki któremu cała okolica raz na zawsze tych nieproszonych pozbyła się gości. *Jordan.*



KREW W CZŁOWIEKU.

Gdy człowiek większą część krwi utraci, natenczas czuje się niezwykle osłabionym. Części ciała: nerwy, muszkuły, gruczoły itd., jeżeli za mało zawierają krwi, nie zdołają wydołać swemu zadaniu. Prędzej jeszcze, jak nerwy i muszkuły, osłabia się czynność najważniejszych części: nerek i wątroby, i ostatecznie czynność ta zupełnie ustaje. Z powodu utraty krwi z organizmu, osłabiają się także nerwy i muszkuły serca, aż wreszcie zupełnie stawają się bezwładne.

Człowiek silny ma także dużo krwi, a silna działalność ciała polega równie na obfitem zaopatrywaniu pracujących części ciała w krew.

Dawniejsza nauka lekarska leczyła wielką część chorób za pomocą upuszczenia krwi. Głównym powodem tego sposobu leczenia aż do nowych czasów, było to mniemanie, że we wielu chorobach, mianowicie przy zapaleniach, uważano zbytek czynności siły żywotnej. A zatem ze zbytku siły żywotnej miały tak samo powstawać choroby, jak jej zmniejszenia. Upuszczano więc krew, aby czynność tej siły zmniejszyć i przez to też osłabić siłę choroby. I rzecz naturalna, że gdy wogóle siły całego ustroju ciała się osłabiły musiała się też i siła choroby osłabić; osiągano więc chwilowe zmniejszenia choroby, ale natomiast wielką szkodą czyniono całemu ustrojowi ciała, bo go stale osłabiono. Tymczasem zupełnie przeciwnie do tego mylnego zapatrywania się na przyczynę choroby, polega choroba właśnie na zmniejszeniu siły żywotnej nietylko owego chorego organu, ale całego organizmu. Jeżeli więc przez upuszczenie krwi choremu organizmowi odbierzemy potrzebny do życia materyał, szkodzimy ciału jeszcze więcej, do jednego złego podajemy drugie, albo osłabiamy ciało i odbieramy mu siłę, przy pomocy której chorobie skutecznie opierać się może. Najnowsza nauka lekarska dąży do tego, aby zagrożony wskutek choroby ustrój ciała zdołał przetrzymać. Trzeba zatem z zasady odrzucać wszystko, co chorego

osłabia, a z puszczenia krwi można tylko w ten sposób korzystać, że z miejsc w których chorobliwe znachodzi się nagromadzenie krwi, a wskutek tego zatamowane jest jej krążenie, ta krew się usuwa za pomocą baniek lub pijawek.

U wieśniaków należy jeszcze do dziś dnia puszczanie krwi do rzekomo koniecznych potrzeb życia, a tak dalece są w tej mierze zaślepieni, że nie każą sobie krwi puszczać wtenczas tylko, gdy się czują chorymi, ale czynią to w regularnych odstępach czasu.

Ilość utraconej krwi przeceniają ludzie, jak się to już pokazuje z utartych sposobów mówienia, np. „strumienie krwi“ itp. Pochodzi to po części stąd, że krew nadzwyczajną ma siłę zabarwiającą i dla tego większe pozostawia po sobie ślady. I tak kilkanaście kropel krwi zabarwia miednicę wody, że do krwi prawie jest podobną.

Ile zdrowy człowiek posiada w sobie krwi, obliczono za pomocą doświadczeń, które robiono na straconych zbrodniarzach.

Pokazało się, że dorosły mężczyzna ma 7,7 procent krwi, czyli 1,13 części ciała. Jeżeli więc mężczyzna waży 130 funtów, natenczas ma w sobie 10 funtów krwi.

Ilość krwi zależy od wieku i stanu organizmu ciała. Sprawdzono to na zwierzętach. W młodszym wieku ma człowiek stosunkowo więcej krwi, niż w starszym. To też wiemy z doświadczenia, że organizm ciała w młodszym wieku więcej pracuje i dzieci więcej potrzebują pokarmu, większy mają apetyt niż dorośli. Otyli ludzie mają stosunkowo mało krwi.

Brak krwi przyczynia się do mnożenia się tłuszczu w człowieku, a przez to zmniejsza ilość krwi, ruch zaś przyczynia się do jej powiększenia. Niewiasty wogóle mniej są wystawione na natężenie muszkułów, dlatego skłonniejsze są do otyłości i mniej krwi mają w sobie.

Pokarmy mięsne pomnażają krew; tłuszcz zaś, mąka i cukier ilość krwi zmniejszają. Kartofle, używane prawie wyłącznie na pokarm, przyczyniają się do zmniejszenia ilości krwi a następnie do osłabienia całego organizmu. Blada cera, brak sprężystości muszkułów i skóry są oznakami niedostatecznej ilości krwi i anemii. Ciężka praca bez odpowiednich pożywnych pokarmów jest przyczyną braku krwi.

Tak samo zmniejsza się ilość krwi przez dłuższe i cięższe choroby. Objawem braku krwi jest słabość po chorobach, mianowicie chorobach febrycznych.

Ubytek krwi nastąpić może nietylko przez zmniejszenie się ilości płynu krwistego, ale i przez rozrzedzenie krwi. Krew taka jest daleko bledsza od krwi zdrowego człowieka, a znachodzi się u ludzi chorych, starców i u zdrowych po długim głodzie.

Warunkiem zdrowia i życia jest dostateczna ilość treściwej krwi, o to więc człowiek najtroskliwiej dbać powinien, a środkami do tego są: oszczędzanie krwi i staranie się o zdrowy i treściwy pokarm oraz świeże powietrze.

Kto wynalazł piwo?

Jedna z gazet włoskich, opierając się na historycznych danych, odpowiada w ten sposób na powyższe pytanie: Najprawdopodobniej pierwsi zaczęli przyrządzać piwo — Egipcyanie na 20 wieków przed narodzeniem Chrystusa. Wtedy piwo nosiło miano napoju peluzyjskiego — od miasta Peluzyi, stolicy piwa. Podług innych źródeł pierwszą piwowarką była bogini pogańska Cerera, stąd pochodzi też łacińska nazwa piwa cerevisia. Z Egiptu piwo przeszło do Grecyi, a stąd do Włoch, Francyi, Hiszpanii i Niemiec. Z Niemiec podług legendy mieszkańcy nie puścili dalej piwa i zatrzymali wszystko u siebie. Tem się tłumaczy, że i dzisiaj Niemcy uchodzą za pierwszorzędnych piwoszów.

Zdania i myśli.

Podobieństwo myśli zbliża do siebie ludzi więcej, niż związki krwi.

* * *

Cisza nie jest szczęściem, ale bez ciszy nie ma szczęścia.

* * *

Aby nie obawiać się niczego, potrzeba nie kochać nikogo.

Łamigłówka do nagrody.

Pierwsze i trzecie
W stajni znajdziecie;
Jest to imię zwierza zdrobniałe,
Które bywa bardzo wspaniałe.
Pierwsze i drugie rośnie w ogrodzie;
Całość zaś sławna w naszym narodzie,
Jest to Polak z wieku szesnastego,
Znany w świecie z odkrycia ważnego.

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać najpóźniej do 1. grudnia r. b. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 50.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 46.:

```
            K
        M   A   K
    P   A   R   Y   Ż
K   A   R   P   A   T   Y
    P   R   A   G   A
        S   T   O
            Y
```

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Marya Budziszewska, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Ludomir Fiałkiewicz, E. Franz, W. Hyla, Walerya Jankowska, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Z. Maślakiewicz, Wacław Nowosielecki, Stanisław Pec, Weronika Przybyłowiczówna, Celestyn Schöffer, J. Steindl, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, Wanda Witkowska, Zdzisław Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Agnieszka Błaszczyk, Kazimiera Basiecka, Ludwik Bróździński, Franciszek Chytry, Mieczysław Cieszyński, Halina Czyżewska, Paweł Gorus, St. Graczyk, W. Gruszczyński, Jadwiga Grzęda, Wincenty Herok, Janek z pod Góry Przemysława, Tadzio Jordan, Tosia Kapela, Zofia Kazowska, Kornelia Kempa, Kierska, L. Kirschke, Aniela Kobylska, Halina Koppe, Stefania Łazarewiczówna, W. Leszczyńska, Maryan Lewandowski, „Lotos" (pseudonim), Anna Marmurowicz, Miława i Wacław Marysiakowie, St. Mieżyńska, *Jadwiga* Mikler, Cz. Musiał, J. Nalaskowska, Wiktor Orczykowski, Izabela Pągowska, Zofia Panieńska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Julia Płoszyńska, Ludwik Piasek, Ludwika Polaszyk, Tadeusz Przybyszewski, Wiesław Radziszewski, Władysław Romanowski, Józef Splitt, Zofia Stachowska, Zbigniew Szymański, W. Tyrakowski, Tadeusz Węclewicz, Stanisław Wrzyszczyński, Roman Żak, Marya Zgaińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy, Z. Dziegiecki z Euskirchen (Nadrenia), Bronisław Konopiński z Berlina, Jan Markowski z Grossenbaum (Nadrenia), Zosia i Klara Skrzypczakówne z Bremeny, Edmund Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium.

Nagrodę otrzymają:

pp. Justyn Cholewik z Małych Kończyc, Kornelia Kempa z Kembłowa, Halina Koppe z Poznania, Władysław Romanowski z Poznania (Jeżyce).

(Za dobre rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 45 otrzymał jeszcze nagrodę p. Zbyszek Radziszewski z Ostrzeszowa.)

Reklamy.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 48

(Ciąg dalszy).

— Kaziu, użyj swego wpływu. Wstyd ci będzie, żeby się znudził. Przyjeżdżajcie!

Kazia podniosła oczy do okna, na ołowiane niebo.

— Tak jeszcze daleko do słońca i lata — rzekła.

— Ja chcę do Maniusi i Felisia! — zawołała grymaśnie Zosia, tupiąc nogami.

— Pójdziesz, pieszczotko, Kazia cię zaprowadzi.

— Ja chcę zaraz. Ja nie będę czekać.

— Można zaraz! — rzekł Andrzej. — Zabierzemy ją ze sobą — i zdamy stryjence do kompletu.

Rad był okazyi, by się uwolnić, ale gdy się znalazł w powozie, nie pilno mu było do domu.

— Cóż, rada pani ze mnie? — spytał.

— O, tak wdzięczna. Nie śmiałam spojrzeć na pana ze wstydu, że pan tak musiał kłamać z mojej racyi.

— Wcalem nie kłamał. Prawdą było, że wczorajsza pani propozycya rozstania mnie wystraszyła. Czy pani sobie może wyobrazić, jakby mnie ojciec przyjął, żebym się na to zgodził. Nie kłamałem też mówiąc, że jestem nie do wzięcia, bo istotnie nie potrafiłbym kochać i pożądać, a i nie dam pani komu, bo mi gospodyni w domu potrzebna Z nas dwojga nie ja kłamałem, ale pani.

Mówił po francusku, co obraziło Zosię.

— Mówisz coś na mnie! Jak śmiesz? Poskarżę się mamusi.

Roześmiał się.

— Bądź spokojna, ani myślę o tobie.

Zwrócił się do Kazi i dodał po francusku:

— Milutkie stworzenie. Żeby było moje, tobym zabił!

— Egoistka! Będzie jej dobrze na świecie! — zdecydowała filozoficznie. Zaprowadzę ją do stryjenki, niech pan wraca do domu.

— A ten cud, co pani miała sprawić?

— Chce pan naprawdę! To proszę chwilę zaczekać.

Wróciła zdyszana, rozjaśniona i rzekła do stangreta z uśmiechem.

— Na Pańską, Walenty, do mojej kamienicy.

A Walenty też się uśmiechnął, a potem się obejrzał na Andrzeja i głową pokręcił.

Ruszyli, ale po drodze Kazia wstąpiła do sklepu z kwiatami i wróciła z wazonem skromnej białej primuli, potem wstąpiła do owocarni, a wreszcie spytała Walentego:

— A torbę wam Józef dał?

— Dał. Juści wiemy porządek! — odparł.

— Ten cud mógłby się stać na ulicy z lepszym brukiem! — zauważył Andrzej, krzywiąc się, gdy wjechali w głąb Pańskiej.

— O Boże! Rana panu dolega, jakżem nie uważna! Wracajmy!

— Nigdy z pół drogi. Głupstwo, opatrunek się osunął trochę. Mam doktora w domu.

Bruk był coraz gorszy, domy coraz nędzniejsze, wreszcie Walenty stanął przy samym rynsztoku, przed pochyłą bramą, obok której stały dwa drewniane domostwa, pamiętające chyba Szwedów w Polsce.

Nad rynsztokiem stało trzech chłopaków i dziewczynka, zajętych wyławianiem z brudnych mydlin pomarańczowych skórek.

Na widok powozu przerwali swe zajęcia, spojrzeli i nagle wrzasnęli jednym głosem:

— Nasza pani. O la Boga, dyć żyje!

Chłopcy rzucili się z tym wrzaskiem w bramę, wpadli na stróża, rozległo się energiczne „psia krew“ i już na podwórku pisk głosów.

— Ludzie, rety, nasza pani przyjechała!

Dziewczynka pocałowała Kazię w rękę, stróż pokłonił się jej czapką do kolan i machnął miotłą mydliny z rynsztoka, a potem uśmiechnięty wziął z rąk Walentego dużą skórzaną torbę i ruszył przodem.

Kazia wysiadła, pogłaskała dziewczynkę po głowie, dała jej piękne czerwone jabłko.

— Braciszek zdrów? Cóż u was słychać?

— Tatuś na mieście. Mama pierze. Wczora tatuś strasznie Józia obił — recytowała idąc obok niej.

Za bramą było podwórze, otoczone ze wszech stron odrapanemi, nędznemi domami, z których w tej chwili wysypała się ciżba ludzi, dzieci przeważnie i kobiet, ubogich, nędznych, jak to ich otoczenie.

Po za oknami widać było twarze tych, co zejść nie mogli pracą zajęci, a cała ta szara masa szła ku Kazi, otaczała ją, ogarniała, witała, jak dobrze znajomą, z okrzykami dobrodusznej, szczerej radości.

Andrzej miał w fabrykach tę czerń, ale znał ją, albo pokorną i nieufną, albo zbuntowaną zuchwałą, znał te twarze zniszczone przedwcześnie nędzą, albo cyniczne zepsuciem, znał milczenie ponurego poddania, lub pomruk głodem rozjuszonej bestyi, znał ich pijanych, znał fałszywie pochlebnych, ale to, co widział teraz, było dlań zupełnie nowem.

Kobieta, ledwie odziana, z rękoma obnażonemi po łokcie i białemi od mydlin, z twarzą szeroką, czerwoną, typową, wesoła mazurka z zadartym nosem i siwemi wesołemi oczami, widocznie rej wodziła i była adjutantem Kazi, wśród tej armii maluczkich i biednych, bo dotarła pierwsza do „pani“ i śmiejąc się wołała:

— A widzicie! Nie gadałam: Pani do nas się zjawi, co miała nas porzucić! O la Boga, a oni co pletli, a umarła, a chora, a zabił ją! A widzicie, a widzicie! Żywa i cała! Ja mówiłam: Co wy ta wiecie, jako państwo żyją — mają i oni swoje kłopoty i zajęcia. Cości jej przeszkodziło! Najgorszy ten pies Józefiak! To on gardłował — macie waszą magnatkę, pobawiła się wami i tyle ją będziecie widzieć.

Tu chłopcy roześmiali się chórem, a jeden najśmielszy zawołał:

— A pani Tomaszowa mu za to w pysk dała, a on tak zgłupiał, tak zgłupiał, że i nie oddał.

— Oddałby mnie! — krzyknęła Tomaszowa, czerwieniejąc. — A tobym tę chuchrę ustudziła!

— Była ci frajda, była! — chychotali chłopcy.

— To Józefiak znowu bez roboty? — spytała Kazia.

— Zwymyślał po pijanemu majstra, to go wyleli! Siedzi to zatracenie w stancyi, na moją niedolę! — odpowiedziała inna kobieta. Paniusiu złocista, nie karzcie mnie i dzieci za niego.

— Zaraz tam do was wstąpię. A rządzca jest?

— Jest! — odparł stróż. — Ino Stasiak to już na Bródnie, i Sobieskie gospodarz wyrzucił.

— Rządzca! — gwizdnął któryś z chłopaków.

— Zmykajcie! — zaśmiała się Kazia. — Dzieci są tu jabłka, ale kto pacierza nie umie gładko, niech się na nie nie oblizuje. Ja się z rządzcą rozmówię i zacznę egzamin od Ambrozików — słyszysz Wicek, o gołębiach nie myśl, radzę ci.

Dziatwa pierzchła, kobiety przypomniały, że śmiecia pełno po stancyach, śmiecia, o które „pani“ zawsze wojuje i uspokojone, że Opatrzność ich nie opuściła, wróciły do swych nor, a na podwórku zostali oboje Saniccy, stróż, Tomaszowa,

i zbliżył się ku nim garbaty, mały jegomość, którego Kazia pozdrowiła, jak dobrze znajomego.

— Dzień dobry, panie Wierzbicki. Dobrze, żeście Sobieskich się pozbyli, zakała to była domu. A proszę o listę zaległości komornego.

Jegomość stanął przed nią, pocałował ją w rękę, a potem oczy zamknął, twarz mu się skurczyła, otworzył usta:

— Kwa, kwa, kwa! — wybełkotał, krzywiąc się i zaciskając pięści z wysiłku.

Andrzej, który się całej scenie przyglądał zrazu trochę zgorszony, potem zdumiony, potem zaciekawiony, teraz poczuł taką potrzebę śmiechu, że parsknął tak szczerze, jak dawno się nie śmiał.

Kazia się obejrzała na niego i po jej twarzy latało drżenie nerwowe.

— Ja właśnie pamiętam o kwartale, panie Wierzbicki i proszę o listę.

— Ale niestety, każdy głuchy udaje, że słyszy, kulawy — radby tańczyć, jąkała — nigdy nie traci nadziei, że będzie Demostenesem.

I Wierzbicki, zamiast od razu oddać listę, miął papier w ręku i znowu oczy zamknął.

— Go, go, go...

— Wiem, gospodarz dusi! — podpowiedziała Kazia.

— Ko, ko, ko...

— Komornikiem grozi. Dobrze, dobrze, dziś to załatwię i kto nie może naprawdę płacić, za tego panu oddam! Żegnam pana tymczasem, bo muszę obejść swą czeladkę.

Pół gwałtem wzięła mu papier z ręki i skinęła na Tomaszową i Andrzeja.

— Pa, pa, padam! — bełkotał Wierzbicki.

— Padam do nóg! — szepnęła śmiejąc się już swobodnie.

— Przeklęty jąkała! — mruczała Tomaszowa. — Co nie dogada, to nadokucza. Do Ambrozików idziem, paniusiu? Dla Julki pewnie wazonik?

Skinęła głową, zwróciła się do Andrzeja.

— Ma pan już dość wizyty?

— Nie! Bawię się i zaciekawia mnie to wszystko. Służę do końca.

— O, to dopiero początek.

— O! — zauważyła poufale Tomaszowa — a ja myślałam, że to mąż pani.

— A dlaczegóż nie? — uśmiechnął się.

— No, bo nie, kiedy pani „pan“ mówi.

— A co wam się zda, kim jestem?

— Juści nic złego, bo nasza pani nie taka, jak to bywają! Z ciekawości pan przyjechał, albo od Kuryera.

Kazia szła naprzód po stromych schodach i nic nie mówiła.

Na każdem piętrze, we wszystkich drzwiach czatowali na nią ludzie, ale się nie naprzykrzali prośbą, nie zatrzymywali. Wiedzieli, że nikogo nie minie, nikomu czasu nie poskąpi. Patrzali tylko za nią, a w mieszkaniach rozlegało się zamiatanie i sprzątanie, i głosy dziecinne powtarzające jedne przez drugie: „Pod Twoją obronę“, „Dziesięcioro“, „Wierzę“, „Aniele Boży“.

— Huncwoty, andrusy, jakie ci to na jabłka chciwe. A podczas, to kijem nie nagnać do pacierza! — mruczała Tomaszowa.

Na drugiem piętrze spotkali brodatego mężczyznę w obszarpanym paltocie, narzuconym tylko na ramiona.

Schodził spiesznie.

Zatrzymała go Kazia.

— Dzień dobry, panie Józefiak. Proszę chwilę zaczekać, bo mam do pana interes.

Mężczyzna przywarł plecami do ściany, nie patrzał na nią, twarz miał złowieszczą.

— Spieszno mi, nie mam czasu! — mruknął.

— Pięć minut tylko. Mam wieści o Kurkowskim, parę książek dla pana i polecenie.

Drab nic nie rzekł, ale zawrócił i otworzył przed nią drzwi swego mieszkania. Izba to była zapchana dziećmi i gratami bez żadnej wartości. Na widok męża, Józefiakowa zdumiała. Wyleciał zbuntowany i wściekły, odgrażając się na „panów“, wracał cichy i pokorny. Rzuciła się do Kazi, podała jej stołek jedyny, dla Andrzeja otarła fartuchem kuferek.

Dzieci małe i duże obstąpiły wnet Kazię, a ona gładząc je po twarzach i główkach mówiła do Józefiaka:

— Pan Twardowski pisze mi, że Kurkowski rzetelnie pracuje, zdrów i zadowolony. Mury fabryki już stoją, maszyny obstalowane tu w Warszawie i lada dzień będą wyprawione. Otóż prosi, żeby mu wyszukać pięciu zdolnych ślusarzy i wraz z maszynami wysłać. Pomyślałam tedy, że mi pan pomoże i doradzi. Ma pan pewnie kolegów dość rozwiniętych, żeby zrozumieli myśl pana Twardowskiego.

— To każdy, kto nie bydle robocze, zrozumie.

— Więc mi pan takich zarekomenduje. Wie pan warunki i statuta?

— Wiem, kto wolny i sam, to szczęśliwy.

— Pan tak mówi, jakby i tym swoim braciom zazdrościł. Chce pan, proszę jechać razem.

— Pewnie, a co z tem zrobię? Rentę im zo stawię na życie, czy potopię w Wiśle!

Wskazał na kupkę głów jasnych u kolan Kazi.

— To już mój kłopot będzie.

— A, bo to prawda! Zresztą, co mają żebrać? niech zdychają ze mną razem!

— Bajesz pan! Ja pierwsza im żebrać nie dam. Dla Władka i Stasia mam robotę, Anusia może już szyć się uczyć.

— A Hela może na guwernantkę! — szydził.

— Hela zostanie z matką niańczyć Jasia. Hela malutka, ale bardzo mądra — prawda? Pochyliła się do sześcioletniej dziewczynki, która najbliżej stojąc, patrzała jej w oczy, przekrzywiając główkę, jak ptaszę.

Otworzyła torbę, wydobyła parę książek, które podała Józefiakowi, potem już więcej nań nie zważając, zwróciła się do kobiety.

— Tu jest dla Stacha kurtka i buty dla Władka. Wyszorujcie ich, matko, należycie i poślijcie z tą moją kartką na Ogrodową do, pana Hilda. Dosyć chłopaki bąki zbijać, trzeba wam na ludzi wyjść. Dla Anusi tu jest skrajana spódniczyna i bluzka, zeszyjcie jej to, po niedzieli do szwalni ją zabiorę. A jakże tam komorne, węgiel jeszcze macie?

Józefiak stał z książkami w garści nieruchomy, ponury.

Czapkę miał na głowie, palto na ramionach, po twarzy latały mu myśli bezładne, walka, bunt, wstyd, upór. I stał tak podczas całej rozmowy o kwestyi życia i dachu tych piskląt, które swą nędzę jemu zawdzięczały i z pod oka patrzył na Kazię.

Załatwiwszy kwestyę bieżących potrzeb, zwróciła się do dzieci, twarz jej się rozjaśniła prawie dziecinną uciechą. Wzięła delikatnie za ucho Staśka i zawołała:

— A teraz baczność „Ojcze nasz“, zmówi Hela, „Zdrowaś“ Władek, a ty gołębiarzu „Wierzę!“ Niechno mi się kto nie zmyli:

— „Ocie naś, którzi jeś!“ — zaczęła świergotać Hela, zwracając się do obrazka Częstochowskiej.

Józefiak powoli sięgnął ręką, zdjął czapkę, Andrzej powstał z kuferka, chłopcy półgłośnym szeptem wtórowali, Kazia patrzyła na ołowiane niebo za oknem i poruszała ustami, powtarzając serdecznie modlitwę.

I była ta izba, jak szary padół ziemi pracowitej i znojnej, na której zakwitł, jakby złocień ta kobieta — kwiat polny, a nad nią skowrończym świergotem unosiło się ku Bogu malutkiej Heli „Ojcze nasz“.

Za drzwiami czekała Tomaszowa, i na głos pacierza zajrzała także. Józefiak się obejrzał i usunął.

— Wejdźcie — toć was nie zjem! — mruknął.

Kazia rozdawała jabłka i serdeczne słowa, dzieci skakały z uciechy, dumne, że się żadne nie zmyliło i wszystko żegnało ją, cisnęło się, coś jeszcze opowiadało i otoczona tą gromadką, wydostała się wreszcie na schody.

Józefiak skłonił się, wyciągnęła doń rękę.

— Liczę tedy na pana — rzekła.

Nic nie odpowiedział obejrzał się, czy Tomaszowa nie patrzy i pocałował jej rękę.

Poszli na strych.

Facyatka to była pełna zakamarków, z oknami jak wyloty olbrzymich armat.

I tu było pełno ludzkiego mrowia i tu ciasno od sprzętów bez żadnej wartości.

Ambroziak, kaleka o jednej nodze, siedział u warsztatu stolarskiego i rzeźbił w dębinie. Stary jego ojciec mieścił się w kącie ze swą introligatorską prasą i narzędziami, na ziemi siedział chłopak z ogromną głową, miną idyoty i bawił się skrawkami papieru, a na łóżku leżała dziewczyna woskowo blada, suchotnica widocznie.

Ambroziakowa, matka, żona i opiekunka całej tej rodziny, powitała Kazię z uśmiechem prawie wesołym.

— Paniusiu złocista, a toć nam się zdały wieki, żeście do nas nie zajrzeli. Myśleliśmy nieszczęście jakie. Cośmy się z Julką namodliły! — Ojciec, pani przyszła! — krzyknęła, trącając na drugiem łóżku leżącego mężczyznę.

Ten ociemniały był i głuchy zapewne, bo podniósł głowę i odparł kaszląc:

— Coś, by kwiecie czuć!

— Gorzej mu? — rzekła Kazia, podając chorej dziewczynie wazonik kwitnący.

Podeszła do warsztatu, przywitała rzeźbiarza, spytała starego introligatora o robotę, spytała o Wicka, czy nie spsocił co u majstra, o Kazika, czy mu się ręka zgoiła, dała jabłko idyocie, i wreszcie zawołała Andrzeja, by obejrzał rzeźbę.

— Śliczna robota! — zdecydował szczerze.

— Udała mi się! — szepnął uradowany Ambrozik. — To do ołtarza, proszę pana, do Kapucynów, cały dębowy będzie, to słupek około cyboryum. Odpryskuje mi tylko, psia krew, dębina.

— A nie klnij, poganinie! — upomniała żona.
— A jeszcze o ołtarzu mówiąc.

Podała zydelek Andrzejowi, spojrzał nań uważnie. Był cały ślicznie, artystycznie rzeźbiony.

— I to wasza robota!

— A moja. To z tych czasów, kiedy tu jeszcze pani do nas nie wstąpiła; nie było chleba, ledwiem ze szpitala wyszedł, nuda i nędza żarła. Chłopcy coś nie coś zarabiali, ale nas tyle tu kalek. Ani się najeść, ani z głodu zdechnąć, a najgorzej nuda. Ja, panie, bez roboty — trup. Chory, słaby, kaleka, takiego ludzie zdrowe popchną, podepcą, i tyle. Aż tu raz Kazik mi przynosi kawałek olszyny, drugi raz kawałek, trzy ino dłutka miałem, ni warsztatu, ni żadnego narzędzia, bo wszystko szpital zjadł, ani nie myśleli, że żyw zostanę. Nie śmiem pytać chłopca, skąd masz drzewo, rozumiem, że ukradł, jak przyzna się, trzeba go będzie sprać i kazać odnieść, a tu do tego drzewa ręce mi się trzęsą. Zacząłem robić, jakby mi zdrowie i życie wróciło, tenci zydelek jest. Żona mówi, że trzeba go do kościoła dać, bo grzeszny, ale jak na niego patrzę, to mi się zda, że prędzej rękę dam sobie uciąć.

— Ręki waszej szkoda ucinać, śliczne te wasze roboty — nie rzemieślnicze!

— Jeszcze ja nic tak umiem. Matko — pokażcie panu skrzynkę.

Kobieta dobyła z kuferka mały przedmiot i przez fartuch podała go szepcząc:

— Ino by pani nie dojrzała, bo to dla niej on to dłubie nocami. Dla pani, co ją nam Bóg dał, jak swego Anioła Stróża. To pańska żona! Oj łaskę pan ma u Pana Jezusa, musiała panu taką żonę matka wymodlić, wypościć. Musi ją też pan miłować, miłować, jako duszę. Dajże wam Boże jasną dolę i zdrowie, i dziatki piękne i jako ona złociste! Józef — opowiedz panu, jako to było z nami.

— A no, jak pan widzi, tylko ja nie miał warsztatu, ojciec prasy, Julka i teść łóżek, Wicek butów, żeby na robotę iść i codzień „pykawy“ kwakał i kukał, a ziąb był, a głód! Ot, co było, a ot temu trzy miesiące. Wicek bosy poszedł żebrać, co było robić, no — i patrzajcie: Wicek wrócił karetą z panią. Obejrzała nas, pogadała mało-wiele i w mig postawiła nas na nogi. Za czem od nas do innych poszła — takci Wicek dla całej posesyi Opatrzność przywiózł. Karetą, bestya, przywiózł!

I zaśmiał się serdecznie Ambrozik i ze śmiechu tego oczy mu zwilgotniały, że je rękamem musiał obetrzeć.

Andrzej obejrzał się na Kazię. Siedziała na łóżku suchotnicy i rozmawiała z nią. Poczuła jego wzrok i powstała, zaczęła się żegnać. Tomaszowa zabrała książki oprawione i wyszli, żegnani błogosławieństwem.

— Nieprawda, że to niepospolity artysta i zdrowe dobre dusze mają wszyscy! — rzekła schodząc na dół. — Mój Boże, bogaci czuliby się najnieszczęśliwszemi, obarczeni tylu chorobami i kalectwami, bluźniliby i wyrzekali. Ja Ambrozików tak lubię serdecznie, im się zdaje, że ich wspieram, a to oni mnie krzepią i są mi dobroczyńcami.

I szli dalej, z piętra na piętro, od nędzy do nędzy, od starości bezsilnej do młodości bez opieki i kierunku, od choroby bez środków leczenia do nałogów nabranych w rozpaczy, wśród bezrobocia i złych instynktów, zrodzonych z głodu i brudu, i buntu biedy, ocierającej się co chwila o zbytek i apatyi, i zezwierzęcenia, i cynizmu.

Gdy obeszli całą prawie posesyę, Andrzejowi się zdało, że jak Dante piekło i czyściec zwiedził.

U Tomaszowej, żony dorożkarza, zakończyli. Tam też Wierzbicki otrzymał swą listę z notatkami Kazi i pieniądze.

Wytrząsnęła całą sakiewkę, zliczyła, zmięszała się i rzekła do męża po francusku:

— Pożyczy mi pan piętnaście rubli do jutra?

— Proszę wziąść wszystko — rzekł, wysypując garść złota.

— O la Boga, ile tego! — splasnęła rękami Tomaszowa.

— Cóż? Teraz uwierzycie, żem mąż pani! — zaśmiał się.

— A właśnie, że nie. Dałby ci ta mąż żonie tak zaraz. Oho, prawda, obżera się to o każdy grosz, a na hulankę to go zawsze stać.

Kazia porachowała złoto, schowała je i pożegnała Wierzbickiego.

— Pa-pa-padam! — goniło za nimi.

Wsiedli do karety, torba była pusta, konie ruszyły ostro, znudzone czekaniem.

— Przeklina pan w duchu swoją ofiarność. Nie było ani szczególnej przykrości, ani przyjemności, nuda, zaduch, brud, przymus!

— I to w ten sposób spędza pani dnie całe?

— Mniej więcej. W tej mojej kamienicy bywam raz na tydzień, resztę pracuję z Ramszycową. Ona ma szwalnię, ochronę, lecznicę, przytułek dla dziewcząt upadłych i rekonwalescentów, codzień

rano zgłasza się do niej rzesza biedaków, których potrzeby należy sprawdzać, jest co robić!

— A wczoraj wieczór omal ci biedacy i protegowani nie zostali bez opieki. Chciała pani wszystko rzucić.

— Nie rzuciłabym ich dla fantazyi lub zniechęcenia. Mój Boże, żeby nie oni, czy byłabym tu dotychczas? Dali mi ce!, pracę, myśl, zajęcie, wszystko co zdrowe i silne.

Wjechali na Marszałkowską.

— Oni to mój świat, a to jest, było i pozostanie mi cudze i najcięższym obowiązkiem.

Spojrzała na zegarek i zatrzymała Walentego.

— Ja tu wysiądę. Mam sprawunki dla domu na dzisiejsze przyjęcie. Dziękuję panu!

Wyskoczyła, skinęła mu głową i weszła do sklepu, powóz ruszył.

Przed ich domem ujrzał Andrzej Radlicza, który na niego czekał.

— Co to? Nie w Grodzisku? — spytał po przywitaniu.

— Downar mnie nastraszył. Kazał się szanować.

— I gadają ludzie, że cię widziano z żoną na mieście.

— Czy mi nie wolno?

— Ano, nie, bo nie wiedzą, co to znaczy.

— Znaczy, żem był z wizytą u teścia. Mam dość hec z ojcem i kwasów domowych. Chodź na górę, ale cię uprzedzam, że swego „Wrzosu“ nie będziesz oglądać; chyba zostaniesz na obiad.

— To zostanę, jeśli zaprosisz.

— Takeś stęskniony jej widoku! — zaśmiał się Andrzej.

— No, wolałbym więcej jak widok, ale uczę się małem zadawalniać.

Weszli do gabinetu Andrzeja, rozłożyli się wygodnie, zapalili papierosy.

— Barańska leci na ciebie! — rzekł. — Dowiaduje się, kiedy do niej przyjdziesz. Co, ładna bestya?

— Ładna, tylko ordynarna i głupia, jak karp. Nie lubię takich.

— To trudno. Takiej Celiny nie łatwo znajdziesz. Było się nie żenić, miałbyś dotąd.

— Myślisz? Ja wątpię, dowiedziałem się wczoraj wielu rzeczy od Markhama. Maks już tam był od roku, tylko ja byłem ślepy. Ostatecznie powiem ci szczerze, odpadła mi chęć zmywania jednego szału drugim, odurzania się, by zapomnieć. Żałuję swej rozpaczy, bólu, żalu dla takiej podłości i fałszu. Chcę odpocząć i zapomnieć. Zmęczony jestem.

Radlicz spojrzał nań uważnie. Wydał mu się zmieniony, zamyślony, poważny i spokojny.

— Wyglądasz na kandydata do rekolekcyi i spowiedzi — roześmiał się.

— Może znasz amatora na mieszkanie Celiny?

— Młody Goldmark je weźmie dla Klary. Co chcesz za całe urządzenie?

— Dwa tysiące, byle się pozbyć.

— Chodźmy po obiedzie do teatru, spotkamy Goldmarka.

— Dziś u nas fiks! Nie mogę.

— Nie możesz opuścić fiksu u siebie. Człowieku, ty dążysz do samobójstwa, ty gotoweś się zakochać w żonie.

— W czyjej?

— No w swojej.

Andrzej ramionami ruszył.

— Wszystkich po sobie sądzisz! — odparł i zadzwonił.

— Pani wróciła? — spytał lokaja.

— Wróciła.

— Powiedz, że pan Radlicz będzie na obiedzie.

Rozmawiali dalej i po chwili Andrzej spytał:

— Jakże się skończyło z tym twoim „Wrzosem“. Sprzedałeś Kołockiemu?

— Nie. Przestał mnie napastować, zapomniał.

— Zrobił swoje. Dużo hałasu, skandalik, kompromitacya kobiety i poszedł dalej. Wyobrażał sobie, że mnie dokuczy. Źle trafił.

Radlicz pomyślał, że i jemu się nie udało. Andrzej nie był na żonę zbuntowany, nie odgrażał się, do domu przyrość był jakby gotów. Czemże go zjednała.

Lokaj oznajmił obiad.

Radlicz zajął miejsce obok Kazi i badawczo jej się przyglądał. Ale twarz jej była jak zwykle pogodna i spokojna, zachowanie swobodne.

Ciąg dalszy nastąpi).



ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Tak jest, postanowiłeś zabić mię. Masz słuszność, czekam.

Dixmer spojrzał na Genowefę i zadrżał mimo woli; bo zbyt wzniosłą była w chwili, gdy czoło jej wieńczyła najświetniejsza ze wszystkich zorza miłości.

— Uprzedziłem królowę — mówił dalej Dixmer — ona czeka, jednak według wszelkiego podobieństwa czynić będzie zapewne niejakie trudności, ale ty ją zmusisz.

— Dobrze, panie, wydaj twe rozkazy, a wykonam je.

— Zaraz — mówił dalej Dixmer — pójdę zastukam do drzwi, Gilbert otworzy; tym sztyletem zabiję go. (Tu Dixmer odpiął się i wyjął do połowy ukryty zanadrzem obosieczny sztylet).

Genowefa zadrżała mimowolnie. Dixmer skinął ręką nakazując jej baczność.

— Skoro go ugodzę — mówił dalej — ty wpadniesz do drugiego pokoju, w którym się znajduje królowa. Drzwi tam nie ma, ale tylko parawan, przemienisz z nią twe suknie, ja tymczasem zabiję drugiego żandarma. Potem wezmę królowę pod rękę i wyprowadzę ją z więzienia.

— Bardzo dobrze — zimno rzekła Genowefa.

— Rozumiesz? — mówił znowu Dixmer — co wieczór widzą cię w tej czarnej jedwabnej mantylce, która ci twarz okrywa. Ubierz więc królowę w twoją mantylkę i okryj ją sama jak się zwykle okrywasz.

— Uczynię jak rządasz mój panie.

— Teraz winienem ci przebaczyć i podziękować, moja pani — rzekł Dixmer.

Genowefa z zimnym uśmiechem wstrząsła głową.

— Nie potrzebuję ani twojego przebaczenia, ani twoich podziękowań mój panie — rzekła wyciągając rękę — to co czynię, albo raczej co mam uczynić, zmazałoby nawet zbrodnię, a ja się tylko słabości dopuściłam; większa, przypomnij sobie, mości panie, żeś własnem postępowaniem zmusił mię prawie do tego. Unikałam Maurycego, a tyś mię sam popychał w jego objęcia; sam więc byłeś podżegaczem, sam jesteś sędzią i mścicielem. Ja zatem raczej powinnam ci przebaczyć śmierć moję i przebaczam w istocie. Ja powinnam ci podziękować, mój panie, że mię pozbawiasz życia, bo to życie byłoby nieznośnem dla mnie, odłączonej od człowieka, którego kocham jedynie i nadewszystko, od chwili jak przez twą dziką zemstę zerwałeś wszelkie węzły, które mię z nim łączyły.

Dixmer paznokciami darł swe piersi; chciał odpowiedzieć, ale głosu mu zabrakło. Przeszedł się kilka kroków po biurze.

— Czas upływa — rzekł nakoniec — każda sekunda przydać się na coś może. No, czyś pani gotowa?

— Mówiłam już — z męczeńską łagodnością odrzekła Genowefa — że czekam.

Dixmer pozbierał papiery, obejrzał czy wszystkie drzwi dobrze zamknięto, przekonał się, że nikt nie będzie mógł wejść do biura, i chciał znowu powtórzyć żonie swoje instrukcye.

— Nie trzeba, mój panie — rzekła Genowefa — wiem doskonale com czynić winna.

— A więc żegnam cię!

I Dixmer podał jej rękę, jakby w tej stanowczej chwili okropność położenia i wzniosłość poświęcenia zatrzeć miały wszelki nawet ślad wzajemnych wyrzutów. Genowefa drżąc, końcem paluszków dotknęła ręki swojego męża.

— Stań przy mnie, moja pani — rzekł Dixmer — i skoro ugodzę Gilberta, wchodź natychmiast.

— Jestem gotowa.

Wtedy Dixmer prawą ręką ścisnął swój szeroki sztylet, a lewą zapukał do drzwi.

II.

Przygotowania kawalera de Maison-Rouge.

Podczas gdy scena opisana w poprzedzającym rozdziale miała miejsce u drzwi, wiodących do więzienia królowej, a raczej do pierwszego pokoju, który zajmowali dwaj żandarmi, w przeciwnej stronie pałacu, to jest na dziedzińcu kobiet, inne czyniono przygotowania.

Nagle pojawił się jakiś człowiek niby posąg kamienny oderwany od muru.

Dwa psy biegły za nim. Szedł śpiewając jakąś rewolucyjną piosnkę i pękiem kluczy, które trzymał w ręku, brzęknął po pięciu kratach, zasłaniających okno królowej.

Królowa z razu zadrżała, ale poznając że to hasło, natychmiast zwolna otworzywszy okno zabrała się do dzieła z nadspodziewaną pewnością; nieraz bowiem w ślusarskim warsztacie królewskiego małżonka swojego, spędzając z nim niejedną chwilę rozrywki, delikatną ręką dotykała narzędzi, podobnych do tego, na którym w obecnej chwili zależały wszelkie jej nadzieje.

Skoro człowiek z pękiem kluczy usłyszał, że się otwiera okno królowej, zaraz zapukał do okna żandarmów.

— Ah! ha! — rzekł Gilbert, patrząc przez szyby — to obywatel Mardocheusz.

— On sam — odpowiedział odźwierny. — I cóż! zdaje się że dobrze pilnujemy.

— Jak zwykle, obywatelu odźwierny.

— Bo to, widzicie! dzisiaj w nocy trzeba większej czujności jak zawsze.

— Bah! — powiedział Dufresne, zbliżając się.

— Tak, tak.

— Cóż tam znowu nowego?

— Otwóż okno, a powiem ci.

— Otwórz — rzekł Dufresne.

Gilbert otworzył i ścisnął rękę odźwiernego, który się już był zaprzyjaźnił z żandarmami.

— Cóż to takiego obywatelu Mardocheuszu? powtórzył Gilbert.

— Oto posiedzenie konwencyi było nieco za gorące. Czyście czytali jego protokół

— Nie. Cóż to się tam działo?

— Oto! naprzód obywatel Hebert odkrył pewną okoliczność.

— Jaką?

— Że spiskowi, których miano za umarłych, żyją, i to bardzo dobrze żyją.

— Ah! tak — rzekł Gi'bert — Delessart i Shierry, słyszałem, że podobno są w Anglii.

— A kawaler de Maison-Rouge? — wtrącił odźwierny podnosząc głos tak, aby go królowa usłyszała.

— A wszakże i ten jest w Anglii.

— Bynajmniej, on jest podobnież we Francyi — mówił dalej Mardocheusz zawsze tym samym głosem.

— A więc powrócił?

— Nie potrzebował wracać, bo wcale nie wyjeżdżał.

— To mi dopiero śmiałek! — rzekł Dufresne.

— Już to co śmiały, to śmiały.

— No, jednak go kiedyś schwytają.

— Zapewne, ale jak się zdaje, nie jest to rzecz tak łatwa.

W tej chwili pilnik królowej tak mocno przerzynał kratę, że odźwierny w obawie, aby go nie usłyszano, mimo wysileń czynionych w celu zagłuszenia go, nadeptał psu łapę tak mocno, że aż psisko zawyło z boleści.

— Biedaczysko! — powiedział Gilbert.

— Bah! — rzekł odźwierny — a czemu nie wziął trzewików. Cicho, Żyrondyn, cicho!

— Czyż twój pies obywatelu Mardocheuszu, nazywa się Żyrondyn?

— Tak jest, uważałem że mu ta nazwa najlepiej przypada.

— Mówiłeś więc — zaczął znowu Dufresne, który sam jako więzień, z wielkiem zajęciem słuchał wszelkich wiadomości — mówiłeś więc?...

— Ah! prawda, mówiłem że obywatel Hebert wnioskował za przeprowadzeniem Austryaczki napowrót do Temple.

— A to dla czego?

— Ponieważ utrzymuje, że przenosząc ją z Temple uwolniono ją od bezpośredniego nadzoru gminy Paryża.

— O! i także troszkę od pokus tego przeklętego Maison-Rouge — rzekł Gilbert — ja sądzę, że podziemie zawsze istnieje.

— Tak mu też właśnie odpowiedział obywatel Saintex, ale Hebert oświadczył, że od chwili, jak wykryto całą tę okoliczność, znikło wszelkie niebezpieczeństwo, że w Temple daleko mniej potrzeba ostrożności, aby dopilnować Maryi Antoniny, aniżeli tutaj, i że Temple widocznie jest daleko warowniejszą budowlą, aniżeli Conciergerie.

— Co do mnie — powiedział Gilbert — na honor, wolałbym żeby ją tam znowu przeprowadzili.

— Rozumiem, bo cię już nudzi to ciągłe jej pilnowanie.

— Nie, ale mnie smuci.

Maison-Rouge silnie kalsznął, pilnik im bardziej się zagłębiał w żelazną kratę, tem mocniej skrzypiał.

— I na czem stanęło? — spytał Dufresne, skoro odźwierny przestał ksztusić się.

— Postanowiono, że Marya Antonina pozostanie tutaj, lecz że niezwłocznie przystąpią do wytoczenia jej procesu.

— Ach! biedna kobieta! — powiedział Gilbert.

Dufresne, czy to, że miał delikatniejszy słuch aniżeli jego kolega, czy też, że nie tyle zwracał uwagi na opowiadanie Mardocheusza, pochylił się w stronę przyległego pokoju i słuchał.

Odźwierny dostrzegł jego poruszenie.

— Pojmujesz więc, obywatelu Dufresne — powiedział żywo — że usiłowania spiskowych tem rozpaczliwszemi będą, że już niewiele pozostanie im czasu na ich wykonanie. A zważywszy, że to was dotyczy obywatelu żandarmie, zważywszy, że słuchać o zbrojnym napadzie na Conciergerie, podwoją zapewne straże, bo spiskowi nikogo szczędzić nie będą, byle się dostali do królowej, to jest do wdowy Kapet, chciałem powiedzieć.

— Ah bah! którędyżby tu weszli ci twoi spiskowi.

— Przebrani za patryotów, udaliby, że chcą odnowić dzień 2 września, a skoroby im raz drzwi otworzono, bywaj zdrów!

Z powodu zdumienia żandarmów nastąpiło chwilowe milczenie. Odźwierny z pełną trwogi radością usłyszał ciągle skrzypiący pilnik. Dziewiąta wybiła.

Jednocześnie zapukano do drzwi więzienia, ale obaj żandarmi, roztargnieni, nie odpowiedzieli.

— Dobrze! dobrze! będziemy pilnować, obaczymy.

— A jeżeli będzie tego potrzeba, pomrzemy na naszych stanowiskach jako prawdziwi republikanie — dodał Dufresne.

— Królowa zapewne wnet przepiłuje kratę — rzekł odźwierny sam do siebie, ocierając pot z czoła.

— Sądzę — powiedział Gilbert — że i ty także czuwasz dobrze; bo i ciebie nie oszczędzonoby również jak i nas, w razie gdyby sprawdzić się miały twoje przepowiednie.

— Bardzo wierzę — odrzekł odźwierny — to też nocami odbywam ront; jestem zawsze na nogach, kiedy przeciwnie wy zmieniacie się i przynajmniej co drugą noc przespać się możecie.

W tej chwili znowu zapukano do drzwi więzienia.

Mardocheusz zadrżał; każdy, najmniejszy nawet wypadek, zniszczyć mógł cały jego projekt.

— Co to jest? — spytał niby mimowolnie.

— Nic, nic — odpowiedział Gilbert — to sekretarz ministra wojny odchodzi i zawiadamia mnie o tem.

Ale sekretarz ciągle pukał.

— Dobrze! dobrze! — wołał Gilbert nie odchodząc od okna. Dobranoc!... bywaj zdrów..

— Zdaje mi się, że mówi do ciebie — rzekł Dufresne, obracając się w stronę drzwi. — Odpowiedz-że mu.

Wówczas posłyszano głos sekretarza.

— Pójdź-no tu, obywatelu żandarmie — wołał on; mam ci coś powiedzieć.

Odźwierny wytężył słuch, bo zdało mu się, że poznaje ten głos, mimo że wzruszenie pozbawia go naturalnego dźwięku.

— Czegóż chcesz obywatelu Durand? — spytał Gilbert.

— Potrzebuję pomówić z tobą.

— A czy nie możnaby odłożyć tego na jutro?

— Nie, ja dziś jeszcze koniecznie z tobą mówić muszę — odparł tenże sam głos.

— O! — szepnął odźwierny — co z tego będzie? wszak to głos Dixmera.

Zdało się, że odległe echa ciemnego korytarza użyczają jakiejś grobowej cechy, temu złowrogiemu i dźwięcznemu głosowi.

Dufresne odwrócił się.

— Ha, kiedy się koniecznie domaga — powiedział Gilbert — pójdę otworzę.

I zmierzył ku drzwiom.

Odźwierny korzystając z chwili, w której oba żandarmi zwrócili uwagę na nieprzewidzianą okoliczność, pobiegł do okna królowej.

— Czy już? — spytał.

Przepiłowałam większą już połowę — odpowiedziała królowa.

— O! Boże mój! Boże, spiesz się pani, spiesz!

— Hej, obywatelu Mardocheuszu — zawołał Dufresne — a gdzieżeś się podział?

— Oto jestem — rzekł odźwierny — żywo wracając do okna pierwszego pokoju.

Właśnie w chwili gdy znowu zajął swe stanowisko, straszny krzyk rozległ się po więzieniu, potem łajania, a nakoniec szczęk pałasza wydobytego z metalowej pochwy.

— Ah! zbrodniarzu! ah, zbójco! — wołał Gilbert.

Słychać było walkę na korytarzu.

Jednocześnie otwierające się drzwi, dozwoliły odźwiernemu dojrzeć dwa cienie wciskające się do więzienia, ustępując miejsca kobiecie, która

odepchnąwszy Dufresna, wpadła do pokoju królowej.

Dufresne obojętny na to, pospieszył koledze na pomoc.

— Odźwierny poskoczył ku drugiemu oknu; ujrzał jakąś kobietę błagającą królowej na kolanach, aby przebrała się w jej suknie. I usiłując rozpoznać tę kobietę, którą obawiał się czy zanadto dobrze nie poznał, zapuścił w więzienie swój wzrok płomieniejący.

Nagle wydał okrzyk boleści.

— Genowefa, Genowefa! — zawołał.

Królowa upuściła pilnik i stała jak wryta Znowu jedno usiłowanie na niczem spełzło.

Odźwierny oburącz ujął podpiłowaną kratę i wstrząsnął nią z całej siły, ale stal za mało jeszcze zagłębiła się i krata stała nieruchoma.

Tymczasem Dixmer zdołał weprzeć Gilberta do więzienia, i już miał się tam dostać, ale Dufresne przyparł drzwi i wypchnął go. Nie mógł jednak drzwi tych zupełnie zatrzasnąć, bo Dixmer w rozpaczy przegrodził ją ręką od ściany. W ręku tym Dixmer trzymał sztylet, który przytępiony o guzik munduru żandarma, ześliznął się po jego piersi, ale rozdarł mu odzież i ciało.

Obaj żandarmi zbierając wszelkie swe siły zawołali o pomoc.

Dixmer uczuł że złamie rękę; podparł więc drzwi barkami, wstrząsnął niemi gwałtownie i wyrwał nakoniec pokaleczoną rękę.

Drzwi z łoskotem zamknęły się; Dufresne zaparł je zasuwami, a Gilbert obrócił klucz w zamku.

Na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki i wszystko się skończyło. Obaj żandarmi spojrzeli po sobie i wokoło siebie. Usłyszeli łoskot jaki sprawiał mniemany odźwierny usiłując wyłamać kratę.

Gilbert wpadł do więzienia królowej i znalazł tam Genowefę, która ją klęcząc błagała aby wzięła na siebie jej suknie.

Dufresne uchwycił swój karabin i pobiegł do okna, spostrzegł że jakiś człowiek wisi u kraty i wstrząsając nią wściekle nadaremnie, usiłując ją wyłamać. Zmierzył.

Młodzieniec widział że ku niemu zniża się karabinowa lufa.

— O! tak jest — rzekł — zabij mnie, zabij.

I wzniosły w całej swej rozpaczy odsłonił pierś, robiąc z niej tarczę dla kuli.

— Kawalerze – zawołała królowa — błagam cię żyj, żyj!

Na głos Maryi Antoniny, Maison-Rouge padł na kolana; to poruszenie ocaliło go, bo kula przeszła mu nad głową.

Genowefa sądząc że zabito jej przyjaciela, zemdlona padła na posadzkę.

Gdy dym strzałowy rozprószył się, na dziedzińcu kobiet nie było już nikogo.

W dziesięć minut później, trzydziestu żołnierzy pod przewództwem dwóch komisarzy, przetrząsało najnieprzystępniejsze nawet kryjówki w całem Conciergerie.

Odźwierny zaś wypadł wołając: do broni! do broni!

Placówka chciała go przebić bagnetem, ale psy odźwiernego skoczyły mu do szyi.

Samą tylko Genowefę aresztowano, wybadywano i uwięziono.

VII.

Poszukiwania.

Nie możemy dłużej zapominać o osobie zajmując jedno z głównych stanowisk naszej powieści, o osobie, która podczas gdy miały miejsce wypadki pisane w poprzedzającym rozdziale, cierpiała najwięcej, i dla tych właśnie cierpień zasługiwała na sympatyę czytelnika.

Słońce najpiękniej przyświecało ulicy de Monnaie, kumoszki wesoło gwarzyły przy drzwiach domów, niepomnąc że nad ich miastem od dziesięciu już miesięcy wisi krwawa chmura, gdy Maurycy wrócił z kabryoletem który sprowadzić przyrzekł.

Sabaudczykowi spotkanemu na placu św. Eustachego, kazał potrzymać konia, sam zaś z sercem przepełnionem radością wbiegł na schody wiodące do jego mieszkania.

Miłość jest to życio-dajne uczucie: umie ona obudzić w sercu zamarłe wrażenia, zaludnia pustynie, stawia przed oczy obraz ulubionego przedmiotu, sprawia że głos śpiewający w duszy zakochanego pokazuje mu wszystko stworzenie oświecone promieniejącym światłem nadziei i szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Zaniedbanie gospodarstwa domowego.

Sprawa zaniedbania gospodarstwa przez kobiety doczekała się teraz żywszego zajęcia, bo nawet w prasie codziennej poczęły pojawiać się głosy, uderzające na alarm. Widocznie źle się bardzo dzieje i odpowiednie zreformowanie wychowania kobiecego musi nastąpić nieodzownie, skoro nawet obojętne dotychczas na te rzeczy pisma żywo zajęły się sprawami gospodarstwa domowego. Jednym z takich głosów znamiennych, a bardzo trafnie charakteryzujących położenie obecne, jest artykuł p. W. K. w „Słowie". Pisze on:

W pojęciach kobiety polskiej dokonał się przewrót, którego objawem jest to, iż zajęcia gospodarskie są przez panny nasze lekceważone, a matki tych panien przyjmują podobny stan z rezygnacyą, nie uważając za stosowne choćby narzekać na to w głośniejszy sposób.

Przewrót ten dokonał się nie od razu. Początki jego sięgają chwili zaszczepiania u nas idei emancypacyjnej kobiet, w epoce bezpośrednio po powstaniu poczętej; powoli, ale systematycznie, szerzyły się poglądy wskazujące kobiecie cały ten zakres zajęć, w których dotychczas panował lub mozolił się mężczyzna, jako rodzaj nieprzyjacielskiego terenu, który zdobywać należy szeregiem świetnych zwycięstw. Ponieważ jednak termin ich własny, na którym one od tysięcy lat panowały i mozoliły się, nie został wystawiony na pożądliwość i zaborczość męską — wypadło stąd, iż na jednym z tych terenów zrobiło się strasznie ciasno, na drugim zaś bardzo luźno.

Gospodarstwo domowe stało się bardzo opuszczoną i zaniedbaną gałęzią naszej narodowej organizacyi. Ambicye zeń ulotniły się i emigracya stała je wycieńczyła; złe chwasty pokryły je wegetacyą bezużyteczną.

W jaki sposób się stało, iż dotychczas u nas nie zadzwoniono na alarm?

W prosty.

Oto gospodynie nasze nie spostrzegły się wcale, że to ich winą jest dezorganizacya, będąca zjawiskiem normalnem w 98 na sto domach polskich. Podaję tę liczbę, nie chcąc, aby mię pomawiano o przesadę. Mężczyzna, cierpiący w pierwszym rzędzie od tej nierównowagi, zaczyna jęczyć. Ale na te jęki nasza gospodyni posiada pod ręką dobry środek: „Wszystko podrożało ogromnie". Czasem mężczyzna wspomni nieśmiało, iż w takim razie wypadałoby zaprowadzić pewne oszczędności. Ale pani domu zamyka mu usta krótkiem pytaniem: „Na czem?" On oczywiście nie wie, na czemby można oszczędzać; jakkolwiek bowiem pani domu ma wielkie pojęcie o gospodarstwie, pan domu jeszcze mniejsze. Musi więc skapitulować. I kończy się debata podobna radą, daną mężczyźnie, że jedyną drogą do wyjścia z matni budżetowej jest, aby postarał się dawać więcej na dom pieniędzy; niech zarabia więcej. Jak? — to już jego głowa. Od tego jest mężczyzna.

Mam krewnego, który posiadał dochodu blisko dziesięć tysięcy marek, — dochodu opartego na majątku. I zginął przez nieład w gospodarce odmowej.

Mam innego przyjaciela. Ożenił się z ubożuchną panną, przed laty dwudziestu pięciu, mając 70 marek miesięcznej pensyi. Brakło wtedy małżeństwu stale do zamknięcia budżetu około 200 mk. rocznie. Obecnie zarabia on do 10 tysięcy rubli. Do zamknięcia budżetu braknie teraz stale około 2 tysięcy marek. Gdy robi wymówki żonie, przypominając jej dawne czasy, słyszy odpowiedź: „Ty nie masz pojęcia o tem, jak od tego czasu wszystko podrożało".

Kobiety usiłują nam zamknąć usta tem, że nie znamy się wcale na gospodarstwie domowem. Zapominają jednak, że i one składają ciągle dowody, iż same się na tem również mało znają. Ale że znają się jednak odrobinkę więcej od mężczyzn, zamknięcie nam ust zawsze im się udaje.

Udawało przynajmniej.

Bo czas położyć koniec anarchii domowej, która rodzinę polską niszczy, niby chroniczna anemia.

Rodacy nasi w Galicyi spostrzegli pierwej niż my zło, o którem mówię. Gmina miasta Krakowa oświadczyła się za założeniem miejskiej szkoły gospodarstwa domowego. Zajęcie się tą sprawą jest tam wielkie i niedługo gospodarstwo domowe posiadać będzie w Galicyi wszystkie typy szkół: niższe, średnie, seminarya i kursy wyższe. Zajmują się tem pojedyńczy działacze, osobne towarzystwa i gminy miejskie.

U nas nikt się jeszcze tem nie zajmuje. Ale to przyjść musi.

Powstały w ostatnich latach różne towarzystwa kobiece, ale między niemi niema bodaj ani jednego towarzystwa gospodarstwa domowego. A jednak takie istnieją na całym świecie. W Krakowie „Towarzystwo gospodarstwa wiejskiego“, będące pod przewodnictwem znakomitego uczonego i profesora uniwersytetu p. Marchlewskiego, urządza właśnie wyższe wykłady o gospodarstwie domowem. W powodzi odczytów, które wygłaszano u nas w ostatnich latach nie było ani jednego, poświęconego temu, bądź co bądź, ważnemu przedmiotowi.

O tem, iż gospodarstwo domowe jest *umiejętnością* jaknajbardziej użyteczną, nikt u nas nie myśli. Panny bogatsze marzą o wyższem wykształceniu uniwersyteckiem; mniej zamożne o posadzie, o zarobku. Matki zachęcają je do tego, bo już w rodzinie polskiej wytworzyła się atmosfera współzawodnictwa na tem polu właśnie. Józia jest doktorem medycyny, trzeba pokazać, że Kazia to samo potrafi. Mania zarabia już sześćdziesiąt marek miesięcznie; Emilcia robi, co może, aby dostać posadę choć na trzydzieści marek, tymczasem — żadna z tych pań nie umie posadzić dwóch jajek na maśle. Nikogo to nie obchodzi. Matka zapewnia, że „jak jej to będzie potrzebne, to dziewczyna się nauczy“. Są zresztą w księgarni — książki kucharskie. Jak gdyby gospodarstwo domowe polegało wyłącznie lub głównie na lepszem, lub gorszem przyrządzaniu po trawy.

Na pensyi zasad ekonomii, potrzebnej do opanowania gospodarstwa domowego, zasad hygieny odżywiania i utrzymania domu, nie uczą, wskazówek urządzania domu, gustownego, a jednak nie nadmiernie kosztownego, nigdzie nie dają. Tego dopiero musi nauczyć własne doświadczenie, wtedy bardzo kosztowne.

A jednak człowiek większą część życia spędza nie po za domem, lecz w domu, a prowadzenie tego domu tak, aby wydatki były zastosowane do budżetu, aby urządzenia i tryb życia były hygieniczne, aby odżywianie było zdrowe, aby urządzenie domu było gustowne i praktyczne, olbrzymią odgrywają rolę w szczęściu jednostki i w życiu całych społeczeństw.

Jeżeli uwzględnimy przytem, nie wchodzące w zakres niniejszych uwag, główne powołanie kobiety: czuwania nad wychowaniem przyszłych pokoleń, dojdziemy do rezultatu, że i bez studyów uniwersyteckich najwybitniejsze w życiu miejsce zajmuje kobieta, której w podziale pracy przydadła rola kierowania tem wszystkiem. Rola w każdym razie ważniejsza od tej, jaką grają nietylko gwiżdżący na gwizdawkach i uderzający w pulpity w salach parlamentu mężczyźni, lecz nawet ci, co w pracy prawodawczej poważny biorą udział. I umieć taka kobieta musi więcej, bo jej błędy mszczą się na niej i na najbliższych jej istotach, a za lichego prawodawcę cierpią inni, to jego już mniej obchodzi.

Trzeba zawrócić z drogi. Trzeba powiedzieć paniom naszym, że gospodarstwo domowe jest zajęciem pięknem, bynajmniej nie niższem od wielu zajęć męskich i dla szczęścia rodzinnego, a nawet narodowego, mogącem przynieść owoce błogosławione.

Dom i kuchnia.

Peklowina.

Kto chce w domu zapeklować mięso, niech je przyrządzi sposobem następującym. Na peklowinę domową zdatna tylko krzyżowa. Na całą krzyżową wziąć 4 łuty saletry, którą miałko utłuc i dobrze nią natrzeć mięso. Potem je ułożyć w dębowem naczyniu np. w beczułce, wsypać pół funta soli, trochę rozmarynu, kolendru, angielskiego ziela, liści i pieprzu, niech tak poleży dwa dni. Po 2 dniach dolać wody przegotowanej z solą i przestudzonej, tak, aby mięso nakryła, z wierzchu położyć denko, przycisnąć i pozostawić przez 3 tygodnie. Mięso powinno być zawsze nakryte słoną wodą, jeżeli więc soku ubędzie, trzeba znów dolać przegotowanej wody z solą. Po trzech tygodniach wyjąć peklowinę, opłukać ją w zimnej wodzie, włożyć do rondla, nalać gorącej wody i gotować 3 4 podziny, stosownie do wielkości krzyżowej. Podając na stół, ubrać ją kartofelkami całemi. Oddzielnie podać chrzan tarty, lub „purée“ z grochu.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa ogórkowa, cielęca pieczeń z kalafiorami, krem owocowy.

Poniedziałek. Zupa pomidorowa, huzarska pieczeń z jarzynami.

Wtorek. Barszcz z uszkami, pasztet ze zwierzyny kurczęta pieczone, kompot.

Środa. Rosół z makaronkiem, sznycle z jajkami, legumina z kaszki.

Czwartek. Zupa cytrynowa, pieczeń wołowa z kapustą brukselską, konfitury.

Piątek. Zupa grzybowa, pierogi postne z ryb z kapustą, naleśniki z sokiem

Sobota. Zupa z jarzyn, kotlety wieprzowe, budyń z sucharków.

:: HUMORYSTYKA ::

Czy aniołek, czy dyabełek

Kto to powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek,
Co u panien siedzi na dnie
Czy aniołek, czy dyabełek?

Bo że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Każdy widzi, lecz rzecz o to,
Czy to anioł, czy dyabełek.

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek,
Że to anioł, nie dyabełek.

To wnet znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że wykrzykniesz mimowolnie
Ach! to dyabeł, nie dyabełek.

I dla tego świat się biedzi,
By rozwiązać ten węzełek,
Co u panien w oczkach siedzi,
Czy aniołek, czy dyabełek?



Przypadkowy dyplomata.

Matka: Cóżeś taki zadowolony Antosiu?

Antoś: Wyobraź sobie mamusiu, ciocia Gertruda dała mi talara.

Matka: Co? ta ską.. chciałam powiedzieć ta oszczędna ciotka?

Antoś: Tak... i powiedziała: kup sobie co ładnego.

Matka: Jakżeż?.. za co ci dała te pieniądze?

Antoś: Tak sobie... za nic. Zgadało się, że wkrótce będą cioci urodziny, a ciocia powiedziała: ach tak! skończę trzydzieści osiem

Matka: Co! ona trzydzieści osiem? Gadanie! przecie ona już przed sześciu laty miała... ale to nie należy do rzeczy! Więc cóż?

Antoś: Ale ja wiem, co tatuś mówi, że ciotce trzeba zawsze tylko przez połowę wierzyć, więc rzekłem jej, że nie wierzę w te jej lata. Wtedy ona popatrzyła na mnie tak dziwnie, aż mi się niedobrze zrobiło i zapytała: A na ileż ty mnie liczysz naprawdę? — Wtedy ja odpowiedziałem śmiało: Najwyżej na dziewiętnaście! Wtedy ona mnie uściskała i dała mi talara.

Matka: A... teraz to pojmuję!

Boczną drogą.

— Wynalazek sztuki drukarskiej był faktem niezmiernej doniosłości. Nieprawdaż panno Maryo?

— Prawda..

— Zwłaszcza dla pism codziennych? Nieprawdaż?

— Szczególniej dla tych, które podają wiadomości o ślubach. Nieprawdaż?

— Prawda.

— A pani nie uwierzysz z jaką przyjemnością czytuję o wszystkich ślubach. Pani także. Nieprawdaż?

— Prawda.

— Czy mogę więc zatem prosić panią o jej rękę?...



Nieśmiały.

(Rzecz dzieje się w wagonie).

Bladolicy młodzieniec od kwadransa wpatruje się natarczywie w oblicze siedzącej obok, mniej więcej pięćdziesięcioletniej damy.

Wreszcie chrząka znacząco raz i drugi, przysuwa się nieznacznie i wyciąga rękę...

— Panie — woła oburzona dama.

Młodzieniec oblewa się rumieńcem.

— Ach, pani, doprawdy...

— Nic wiedzieć nie chcę, pan jesteś impertynent.

— Pani zechciej wierzyć, iż tylko prawdziwe..

— Uczucie, chcesz pan powiedzieć, dybiesz na uczciwość samotnej kobiety, to.. to...

— Ależ, doprawdy, przepraszam najmocniej, stokrotnie przepraszam.

— Nikczemnik! Nie obrażaj pan i nie przepraszaj... Panie konduktorze, na Boga...

— Pozwól pani dojść mi do słowa, pozwól wyznać, co mię skłania.

— Nic nie chcę wiedzieć... Panie konduktorze!

— ...Co mnie skłania do podobnej śmiałości...

— Impertynencyi, chcesz pan powiedzieć!

— ...Tylko to, iż pani siedzisz na moim kapeluszu...

— !!!



Co to za osobliwy sposób mówienia: „szedł pan, a za nim człowiek;“ niby to pan nie człowiek.

Tymbark, 15/10 1910.

Wielm. Pan

Stanisław Tomaszewski,

Kraków.

Proszę uprzejmie o cztery mapy Polski.

Przy tej sposobności, proszę przyjąć wyrazy uznania i podziękowania za tak szlachetną i pożyteczną pracę, która dla naszego społeczeństwa i młodzieży jest bardzo praktyczną i konieczną, gdyż uczy praktycznie i poglądowo historyi polskiej.

Z poważaniem

Ks. Stanisław Rzepecki.

Powyższe pismo to jedno z licznych zamówień na czwarte wydanie Mapy Polski Stanisława Tomaszewskiego — zawierające podobizny królów polskich z ich krótkimi życiorysami, herbami województw, biskupstw i miast polskich, pięć okresów historyi Polski oraz szersze dane najważniejszych dat historycznych. — Prawdziwa to ozdoba domu polskiego i rzecz celowo pedagogiczna. Cena 4 marki, dla prenumeratorów „Głosu Wielkopolanek" 3 mk. i „Tyg. Narodowego" tylko 3 Kor. franko. Adres zamówień: Stan. Tomaszewski, Kraków, Bonerowska 14. Pieniądze przesyłać można także w niemieckich znaczkach pocztowych.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.